



DeAnna Talcott

Walentynki w Valentine

Z cyklu Bratnie Dusze

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Blondynka, która od dłuższego czasu kręciła się w pobliżu wejścia, bezwiednym gestem poprawiła włosy i kolejny raz popatrzyła na wiszący na ścianie zegar. Venus, pani naczelnik poczty w Valentine, niewielkim miasteczku w stanie Kansas, podniosła wzrok znad sterty listów i badawczo przyjrzała się nieznajomej.

Robiła miłe wrażenie. Jasne włosy układały się w miękkie loki, a sądząc po drobnych zmarszczkach w kąciach niebieskich oczu, była dobrze po trzydziestce. Venus natychmiast pojęła, że wszystko mówią o niej uwodzicielskie kolczyki, te malutkie misie z czternastokaratowego złota.

Blondynka popatrzyła na nią uważnie, wreszcie podjęła szybką decyzję i podeszła do okienka.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, chodząc tak od ściany do ściany. Czekam na kogoś. Znamy się tylko korespondencyjnie. Umówiliśmy się na poczcie, tak wydawało się najlepiej.

- Nie ma problemu. To miejsce publiczne, przez cały dzień przychodzą interesanci. Wcale mi pani nie przeszkadza.

Blondynka nerwowo kręciła guzikiem przy lnianym żakiecie, rozglądała się wokół, aż wreszcie zatrzymała wzrok na fotografii wiszącej na tablicy ogłoszeń. Venus, która zabrała się do ważenia paczek, dla podtrzymania rozmowy wyjaśniła:

- To Mariah. Zdjęłam listy gończe FBI i powiesiłam zdjęcie

najmłodszego wnuczka pana Tomlinsona. Uwielbia opowiadać o swoich wnukach, więc chciałam mu zrobić przyjemność. Teraz każdy może podziwiać najmłodszego Tomlinsona.

Blondynka w zamyśleniu popatrzyła na podobiznę niemowlęcia.

- Zawsze bardzo pragnęłam mieć dzieci - powiedziała z żalem. -

Ale niestety nie mogę.

- Och, bardzo mi przykro. Nie chciałam...

- Niech pani nie przeprasza. - Wyciągnęła rękę. - Poznajmy się, jestem Moira. Mam wyrzuty sumienia, że zabieram pani czas i zwiergam się ze swoich sekretów. Choć domyślam się, że pracując na poczcie, wiele się można dowiedzieć o bliźnich.

Venus uśmiechnęła się tajemniczo.

- Cóż, tak jest, w pewnym sensie. - Ale nie w takim, w jakim się domyślasz, dodała w duchu.

Zapadła cisza, w trakcie której do środka wszedł Jake Crowell i skierował się do okienka, zaś Venus doznała olśnienia. Daremnie próbowała odepchnąć pokusę. To wprost wymarzona sytuacja. Lepiej być nie może.

Ma przed sobą kobietę, która pragnie być matką.

Jake od dwóch lat jest wdowcem i samotnie boryka się z wychowaniem trzech ślicznych córeczek.

Czegóż trzeba więcej? W dodatku tej blondynce dobrze patrzy z oczu, a przecucie jeszcze nigdy nie zawiodło Venus.

- Przepraszam, możesz powtórzyć nazwisko? - poprosiła.

- Moira. Moira McPerson.

- Skąd jesteś?

- Z Chicago. Ale wiele wskazuje, że wkrótce zamieszkam w tych stronach. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli...

- Cześć! - Mocny głos Jake'a wypełnił niewielką salę. - Jest dla mnie jakaś poczta?

Moira odwróciła się i nieco odsunęła, by zrobić mu miejsce przy okienku. Jake z roztargnieniem przesunął wzrokiem po nieznajomej.

Do diabła, nawet przez sekundę na siebie nie popatrzyli, pomyślała Venus i zmarszczyła brwi, z udawaną uwagą przerzucając listy.

- Nic specjalnego, głównie reklamówki - mruknęła, przekładając koperty. - Jake - dodała zmienionym, pełnym słodczy głosem - chyba nie miałeś okazji poznać Moiry McPerson?

Jake gwałtownie zamrugał.

- Dopiero przyjechała do Valentine. Z Chicago. Odwrócił się i machinalnie wyciągnął rękę.

- Moira, to Jake Crowell. Prowadzi sklep żelazny, ale przede wszystkim opiekuje się trzema ślicznymi córeczkami, najpiękniejszymi dziewczynkami w całym stanie.

- Jestem wdowcem - wyjaśnił Jake, ujmując delikatną dłoń Moiry.

- Rozumiem... - Podniosła na niego błękitne oczy. Uśmiechnięta twarz Jake'a zmieniła się w jednej chwili. Jakby Moira rzuciła na niego urok.

Wystarczyła sekunda! I już!

Venus uśmiechnęła się z satysfakcją. Nieźle jej poszło! Jedno spojrzenie, i oboje są zauroczeni. Miłość wybuchła jak płomień. Trzeba tylko wyczuć właściwy moment. W sumie nic trudnego.

Venus westchnęła cichutko. Dla Moiry i Jake'a ona już nie istnieje. Zapomnieli o jej obecności, są tylko oni dwoje. Zawsze tak samo. Miłość od pierwszego wejrzenia razi ludzi jak grom. Trzeba się z tym pogodzić i nie liczyć na słowa podzięk. Lecz cóż, tak już jest, że ktoś musi to zainspirować. Zresztą może kiedyś, po latach, nadejdzie moment, że usłyszy od nich „dziękujemy”.

Popatrzyła na pochłoniętą rozmową parę, uśmiechnęła się i zabrała za stemplowanie znaczków.

Jak to się w życiu układa! Czasami aż trudno uwierzyć, jednak zwykle nic nie dzieje się bez powodu. Powtarzała to sobie za każdym razem, w takich sytuacjach jak ta. Ileż par udało się jej skojarzyć! Tak po prostu. Widać zostało zapisane.

Otworzyły się drzwi wejściowe. Podniosła oczy i z wrażenia zaparło jej dech. Na progu stał wysoki, postawny mężczyzna. Szedł miarowym, lekko kołyszącym się krokiem. Miękkie, sprane na kolanach džinsy, pas z szeroką klamrą, niebieska kowbojska koszula z pobłyskującymi perłowo napami. Muskularny, szczupły, wysportowany. Patrzyła na niego jak urzeczona, zapamiętując każdy ruch tego pięknego męskiego ciała. Podniosła wzrok i popatrzyła na twarz. Coś nieprawdopodobnego. W życiu nie widziała tak przystojnego faceta!

Zabrakło jej powietrza. W piersi coś wezbrało gwałtownie, jakiś

dziwny ból przesycony upojną słodyczą. Przymknęła na chwilę oczy.

I zaraz je otworzyła. Mocno zarysowana linia szczęki, dumna broda, szerokie czoło i ładnie zarysowany nos. Nieco wystające kości policzkowe. Ciemne, lekko kręcone włosy łagodziły dość surowe rysy.

Jak zahipnotyzowana patrzyła na wydatne, zmysłowe usta. Oczy nieznajomego załśniły, przysłoniły je czarne rzęsy.

Oczy jak diamenty, przemknęło jej przez myśl.

Ogarnęło ją przemożne pragnienie, by wiedzieć, jakiego są koloru. Kobaltowoniebieskie czy stalowe jak metal?

Mężczyzna powiedział coś, lecz do niej nic nie docierało. Słyszała tylko głębokie brzmienie głosu, melodyjną frazę. Balsam na jej duszę. Wpatrywała się w niego jak odurzona. Nieznajomy popatrzył na nią, a potem przeniósł wzrok na pochłoniętą rozmową parę.

Opamiętała się. Chyba ją o coś zapytał. Pośpiesznie wzięła się w garść.

- Przepraszam - bąknęła. - Nie usłyszałam, co pan mówił. Myślałam o... - przesunęła wzrokiem po jego szerokich barach i płaskim brzuchu - o czymś innym - dokończyła.

Ta szeroka klamra zdawała się puszczać do niej oko. Venus wzdrygnęła się. Co się z nią dzieje? Nie może tak być, że martwe przedmioty zaczynają żyć własnym życiem. A już na pewno nie wtedy, gdy dotyczy to jej.

- Z kimś się tutaj umówiłem - powtórzył przybysz. - Ze znajomą. Wybałuszyła oczy.

- To pan? Korespondencyjny znajomy?

- Nazywam się Riley Burke - powiedział nieznajomy. -
Umówiłem się tu z...
Blondynka, usłyszawszy nazwisko, odwróciła się. Zrobiła to z wyraźnym ociąganiem, jakby wbrew sobie.
- Burke? Riley Burke? - zapytała.
- Tak. - W jego głosie zabrzmiało coś na kształt wahania. -
Domyślałam się, że to ty jesteś Moira?
- Tak. - Na chwilę umilkła. - Przepraszam na moment... -Z promiennym uśmiechem odwróciła się do Jake'a. - Z przyjemnością pójdę do „Rusty Nail” na kawę. Przyjdę za parę minut, zgoda?
Jake nie odrywał od niej oczu. Skinął głową i wyszedł.
- Będę czekał. Zajmę najlepszy stolik, ten w rogu.
Gdy zniknął za drzwiami, Moira podeszła bliżej i pociągnęła Rileya za rękę. Venus przyglądała się im spod oka. I choć była u siebie, czuła się jak intruz.
Zaraz, co tu się dzieje? Nie tak miało być. To ona zawsze pociągała za sznurki.
- Trudno mi to wyjaśnić, ale z naszego układu nic nie będzie - z oddali dobiegł ją głos Moiry. - Wiem, że się umówiliśmy, że wszystko było dogadane. Nagle dotarło do mnie, że to bez sensu, że nie jesteśmy sobie pisani. Może gdybyś zjawił się tu parę minut wcześniej, nim poznałam Jake'a...
Riley wyprostował się jak struna.
- Co takiego?
- Nie bierz tego do siebie. - Moira machnęła ręką. - Tak wyszło.

Naczelniczka poczty przedstawiła mi Jake'a i... i nagle poczułam, że to jest właśnie ten, którego szukam. Ty nie masz z tym nic wspólnego.

Przepraszam cię, ale nic na to nie poradzę.

- Nabrała powietrza, zarzuciła mu rękę na szyję i cmoknęła w policzek. Widząc to, Venus poczuła ukłucie zazdrości. - Żegnaj, Burke
- cicho powiedziała Moira. - Między nami wszystko skończone.

Mgnienie, i już jej nie było. Burke stał jak przymurowany. W powietrzu jeszcze było słycać szelest sukienki Moiry i stukot wysokich obcasów. Minęła dobra chwila, nim przeniósł wzrok na siedzącą za ladą Venus.

- Mógłbym się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał ostro.

Venus poruszyła się niespokojnie.

- Mogę się tylko domyślać, że... że Moira nie chce dłużej utrzymywać waszej korespondencyjnej znajomości.

- Mogłaby pani wyrazić się jaśniej? - Zmrużył oczy.

- Wygląda na to, że się rozmyśliła - wyjaśniła cicho. - Ma dość korespondowania.

- Rozmyśliła się! - wykrzyknął gniewnie i zrobił krok do przodu.

- Nie chodziło o żadne korespondowanie, a o coś zupełnie innego!

- Naprawdę?

- Miałem się z nią ożenić! A pani podsunęła ją komuś innemu!

Sprzątnęła mi ją sprzed nosa!

Venus poczuła, że się dusi. To nie może być prawda! Do tej pory intuicja nigdy jej nie zawodziła. Teraz też czuła krążące w powietrzu

fluidy. Wprawdzie inaczej niż zwykle, jednak...

- Nikomu jej nie podsunęłam - wydukała, uciekając wzrokiem w bok. - Tylko ich ze sobą poznałam.

- Wielka mi różnica!

- No cóż - prychnęła. Była zła na siebie, że tak fatalnie się pomyliła. - Ona i tak nie była dla pana.

- Nie była dla mnie?! - warknął. - A niby skąd pani to wie? Venus odłożyła na bok stertę kopert. Musi stawić mu czoło.

- Jest subtelna i wrażliwa. Jak cieplarniany kwiat. Zbyt delikatna dla pana.

Burke zamrugął. Jego oczy nie są stalowe, a szare jak proch, dostrzegła wreszcie. Lśniły niebezpiecznie, jakby lada chwila miały wybuchnąć.

- Wszystko było dopięte na ostatni guzik! To miał być szybki ślub, zgodnie z jej wolą. Zgodziłem się, choć nawet jej nie widziałem. Machnąłem ręką i przystałem na wszystko. I teraz nagle okazuje się, że nic z tego. Bo pani poznała ją z innym i Moira zmieniła zdanie. Po co się pani wtrącała?

- Machnąłem ręką... - powtórzyła jego słowa. Gotowało się w niej. - Skoro ma pan takie podejście, to bardzo dobrze, że stało się tak, jak się stało! - wykrzyknęła.

- Jakim prawem wtrąca się pani w moje prywatne sprawy? Za kogo się pani uważa? - parsknął. - Kojarzy pani ludzi według swego widzimisię?! Co to, swatka z pani albo jakaś cholerna bogini miłości?

- Zgadł pan - rzekła z godnością, po czym wstała i dumnie

uniosła brodę. - Jestem Venus.

Tego się nie spodziewał. Wbił wzrok w stojącą przed nim dziewczynę. Wariatka przebrana w pocztowy mundur?

Venus znaczącym gestem dotknęła przypiętej na piersi plakietki z imieniem i nazwiskiem.

Venus.

Miał wrażenie, że uchodzi z niego powietrze. Pełny tekst brzmiał: Venus Jones. Naczelnik poczty w Valentine, stan Kansas.

- Pani chyba żartuje.

Odetchnęła z ulgą. Dobry znak, nie mówił już podniesionym tonem.

- Nie żartuję. Przed laty moja mama też była tu naczelnikiem poczty. Uznała, że będzie nie od rzeczy, jeśli jej miejsce zajmie Venus, czyli ja.

Burke przesunął po niej przenikliwym spojrzeniem.

Płomiennie loki okalały drobną buzię z szeroko rozstawionymi błękitnymi oczami. Ma jakieś dwadzieścia pięć lat, oszacował w duchu. Z dziesięć lat młodsza od niego. Drobne piegi kontrastujące z porcelanową cerą przydawały pani naczelnik psotnego uroku. Zabawne dołeczki w krągłych policzkach, usta jak malina, twarz w kształcie serca.

Spokojnie zniosła jego taksujący wzrok. Niezbita wiara w siebie. Powinien ją za to cenić. Choć było w niej jeszcze coś więcej. Coś, czego nie potrafił pojąć i zdefiniować. Jakaś ulotna aura.

Otrząsnął się. Co go obchodzi ta dziewczyna? Znowu wezbrał w

nim gniew. To przez nią jego plany wzięły w łeb.

Wydawało się, że wszystko pójdzie jak z płatka. Za miesiąc byłby po ślubie. W listach omówili szczegóły. Nie miał zastrzeżeń do Moiry, nawet jeśli w rzeczywistości okazała się trochę inna niż na tym wystudionym zdjęciu, jakie mu przysłała. Całkiem przyjemna kobieta, a po listach sądząc, dobrze do siebie pasowali. Chyba że wszystko, o czym pisała Moira, było wysrane z palca.

Choć w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. Wytyczył sobie cel - znaleźć żonę i założyć rodzinę. Nie miał czasu ani ochoty na tradycyjne zaloty. A czas biegł nieubłaganie. Skończył trzydzieści pięć lat i z każdym dniem stawał się starszy. Wystarczy wspomnieć ojca. Nie chciał, by jego życie ułożyło się podobnie.

Zostać ojcem zbyt późno to prawdziwy dramat. Nie ma się sił na szarpanie z pieluszkami, człowiek ma swoje przyzwyczajenia, z których trudno zrezygnować, jest mało elastyczny, nie potrafi dogadać się z żoną. Co najwyżej zdobędzie się na to, by burknąć nędzne „przepraszam”.

To miało być małżeństwo nie z potrzeby serca, lecz z rozsądku. Mieszkał sam, z dala od ludzi, osiemdziesiąt kilometrów od Valentine. Miasteczka, o którym mówi się żartem, że jest romantyczną stolicą świata. Dlatego, na dobrą wróżbę, właśnie tu umówił się z przyszłą żoną, do tego na pocztce, gdzie walentynkowe kartki ozdabiane są okolicznościowym stemplem: „Miłość rozkwita w Valentine, Kansas”. Okazało się, że niepotrzebnie się łudził.

Wyprostował się, przydając sobie powagi.

- Więc dobrze, panno Venus - rzekł stanowczo. - Sprzątnęła mi pani narzeczoną. I teraz musi mi pani znaleźć nową. Ma pani na to trzy tygodnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Tego nie robi się w taki sposób! - zawołała Venus.

- W jaki sposób?

- Mam znaleźć odpowiednią osobę i wyswatać ją z panem, bo pan tak chce. Raz, dwa, trzy i już. A przecież, by to się udało, muszą być spełnione pewne warunki... to znaczy... - Urwała gwałtownie. Już i tak zagalopowała się za daleko. Musi czym prędzej odwrócić jego uwagę. - Chodzi mi o to - zaczęła z innej beczki - że to wcale nie jest takie łatwe. Niech pan na mnie popatrzy. Gdybym miała do tego smykałkę, już dawno bym sobie znalazła męża. To znaczy gdybym miała taki dar. A ja już trzynastcie razy byłam druhną i nic, wciąż jestem panną.

Popatrzył na nią, mrużąc oczy.

- Trzynastka jest pechowa - rzekł z przekonaniem.

- Przepraszam, co pan powiedział?

- Że trzynastka przynosi pecha.

Wzruszyła ramionami. Kamień spadł jej z serca. Już się bała, że zechce dociekać dalszego ciągu. Ani jej się śni zdradzać, że to ona wyswatała tamtych trzynastcie par, a na nich się wcale nie kończyło, bo

dzięki niej doszło do bardzo wielu ślubów. Tyle tylko, że nie na wszystkie została zaproszona.

- Wiem, ale po trzynastce będzie czternastka. To akurat moja szczęśliwa liczba. Mam przecucie, że ten następny raz...

- Przepraszam, to pani szczęśliwa liczba? Na przykład czternasty dzień lutego?

Mama była głęboko przekonana, że Venus przyszła na świat w dniu, kiedy był szczególny układ Słońca, Księżyca i gwiazd. Do tego dołożyły się geny. Z tej wyjątkowej koincydencji wzięły się jej nadprzyrodzone zdolności. Venus celowo umniejszała ich znaczenie, jednak doskonale wiedziała, że prawda jest inna. Natura obdarzyła ją szczególną mocą. Wystarczyło, by poznała ze sobą jakąś parę.

To była jej tajemnica. I przeznaczenie. Swatała pary i patrzyła na rozkwitającą miłość. Praca na poczcie była tylko przykrywką, sposobem zarabiania na życie.

- Moira chciała, byśmy wzięli ślub właśnie czternastego lutego - powiedział Burke.

- W moje urodziny? - spytała zaskoczona. Popatrzył na nią badawczo.

- Czternastego lutego są walentynki. I pani urodziny?

- Tak... to znaczy, Moira nic mi o tym nie wspominała. Gdybym wiedziała... - Musiała jakoś zebrać myśli.

- To co by pani zrobiła?

- Ostrzegłabym ją przed tym - oświadczyła stanowczo, i zaraz pojęła, że był to błąd. Za dużo miele ozorem, ot co. - Tak się

beznadziejnie złożyło, że urodziłam się w walentynki, no i to imię...
Świetny temat do żartów, jak się pan domyśla. Gdybym była bardziej
zaradna, wyniosłabym się z Valentine, zmieniła imię na... -
uśmiechnęła się gorzko - Afrodyta i potem...

- Afrodyta?! Venus skinęła głową.

- Afrodyta - powtórzył. - No cóż, typowe, całkiem zwyczajne
imię. Jasne. Doskonale rozumiem, to rzeczywiście wszystko by
zmieniło.

Wzdrygnęła się. Co jest w tym facecie, że z własnej i nie-
przymuszonej woli wyjawia mu swoje sekrety? Gada jak najęta, bez
opamiętania.

- Tak mam na drugie - wyznała. - Moja mama taka właśnie jest.
Nie cierpi typowych rozwiązań.

- Najwyraźniej - potaknął uprzejmie. - A tak dla zaspokojenia
ciekawości... jak ona ma na imię?

- Venus.

- Hm... - mruknął, unosząc brew.

Najchętniej schowałaby się pod ladę. I po co mu to powiedziała?
Pośpiesznie zabrała się za układanie kopert.

- Dla pana moja mama to pani Jones - rzuciła kategorycznym
tonem. - To nobliwa, siwowłosa pani, do tego babcia, która nie życzy
sobie, by postronni ludzie mówili o niej po imieniu. Pani Jones i już.

- Pani Jones - podjął z lekkim przekąsem. - To pewnie o niej jest
ta znana piosenka?

Zdenerwował ją. Zagryzła usta. Niewiele osób znało prawdę o

starszej pani Jones.

- Moja mama przez całe życie mieszka w Valentine. Nigdy nie miała ambicji, by zostać swatką. Owszem, poznała pewną starszą ciotkę z naszym dalekim kuzynem, ale nic poza tym.

Tylko o ilu mariażach mama nie puściła pary z ust?

Uśmiechnęła się do Riley'a słodko i niewinnie. Nie chciała teraz zastanawiać się nad powodami, które skłaniały mamę do działania. Trzy lata temu zapowiedziała, że definitywnie kończy działalność, jednak nadal doskonale trafiała. W wyjątkowy sposób potrafiła dobrać ludzi, miejsce i czas. Burke wyraźnie coś rozważał.

- Venus. Venus Afrodyta... - powtórzył wolno, wsłuchując się w brzmienie tych imion. - Venus, córka Venus.

- Venus Afrodyta, córka Venus Pandory - uzupełniła odruchowo. Uniósł brwi.

- Pandora?

Co się z nią dzieje? Ten facet ledwie na nią spojrzał, a ona bez mrugnięcia okiem wyjawia mu rodzinne tajemnice. Tylko kilka osób znało drugie imię mamy. Co jej się stało, że z miejsca mu o tym powiedziała, jak staremu znajomemu?

- Babcia wyczuła, że mama będzie prawdziwym utrapieniem - wymyśliła na poczekaniu. - Same kłopoty. Mówiła na nią puszka Pandory. - Riley Burke przyglądał się jej w milczeniu. Poczwała, że robi się jej gorąco. - To był taki nasz rodzinny żart. - Znowu zapadła cisza. - Udusi mnie, jeśli się dowie, że wypaplałam jej drugie imię.

- Och! Nikomu nawet nie pisnę. - Zadumał się na chwilę. - Bo

któż by mi uwierzył? - dodał pod nosem. - A jeśli wolno spytać, jak ma na imię pani ojciec? Bo jeśli usłyszę, że Zeus, Wulkan albo Posejdon...

- Bob, po prostu Bob Jones. - Bardzo zwyczajnie, podsumowała w duchu. Za to ma nadzwyczajną cierpliwość do swoich dziewczyn, bo Lizandra, jej siostra, wybrała tę sama branżę. Pracuje w butik dla nowożeńców.

Burke pochylił się, oparł łokcie na ladzie, a jego twarz znalazła się tuż obok Venus.

- Cóż, tak sobie myślę - powiedział miękko - że takie imiona muszą mieć na was wpływ. Założę się, że miłość i małżeństwo to sprawy, do których przykładacie ogromną wagę. Owionął ją jego zapach, męski i słodki zarazem. Krew zaszumiała jej w uszach, zawirowało przed oczami. Nie mogła się skoncentrować, oderwać wzroku od ciemnych, niepokojących oczu tego mężczyzny.

- Chcę znaleźć właściwą pannę i ożenić się z nią - oświadczył stanowczo. - Nie interesuje mnie, ile to będzie kosztowało ani jak pani to zrobi. Zdaję się na panią. Pod każdym względem.

Nogi się pod nią ugięły.

- To nie jest takie proste - wydusiła. - Jak pan to sobie wyobraża? Powiem „abrakadabra” i już mam dla pana narzeczoną?

- Miałem narzeczoną, to mi ją pani sprzątnęła sprzed nosa.

- Ależ ja wcale...

- Venus, masz znaleźć mi narzeczoną. Jasne? I im prędzej to się stanie, tym lepiej.

- No nie! - Załamała rękę. - Dlaczego aż tak ci zależy na ślubie?

W dodatku z kimś, kogo nawet nie znasz. Przecież znalazłeś narzeczoną z ogłoszenia matrymonialnego, a w dzisiejszych czasach są inne sposoby. Mógłbyś...

- Chcę się ustatkować - przerwał jej. - Założyć rodzinę. Zmienić dotychczasowe życie. Nie tylko praca i koledzy. Dojrzałem do czegoś innego.

- I wydaje ci się, że to takie proste? Że od razu wytrzasnę ci odpowiednią dziewczynę? Niby skąd, z rękawa?!

Burke nie przejął się tym wybuchem.

- Czuję, że nadeszła pora - rzekł z przekonaniem. - Powiodło mi się, mam dobre życie, i chcę, by ktoś je ze mną dzielił.

- Ale przecież... - Gorączkowo szukała właściwego określenia, ale żadne nie było dobre. Niezła sztuka, superfacet... Chrząknęła. - Jesteś atrakcyjnym mężczyzną - powiedziała wreszcie, ostrożnie obserwując jego reakcję. - Nie powinieneś mieć problemu z poznawaniem kobiet. To jeszcze mało powiedziane. One same cię znajdują, jeśli tylko dasz im szansę.

- Nie mam na to czasu i ochoty - odparł, odsuwając się od kontuaru. - Mieszkam kilkadziesiąt kilometrów stąd. Nie chce mi się bawić w poznawanie różnych pańienek, oprowadzanie ich po ranczu, opowiadanie o sobie i czekanie na werdykt, czy nadaję się na męża. Nie zamierzam spełniać jakichś wydumanych oczekiwań czy zachcianek. To nie w moim stylu. Wszystko powinno być proste. Chcę mieć żonę, z którą mogę pojechać na przejażdżkę o zachodzie słońca.

- Mówisz jak człowiek nie z tego świata. Przecież to nie tak się

dzieje.

- A ty? - zapytał, jakby go nagle olśniło. - Nie jesteś zamężna, więc może...

Z wrażenia zabrakło jej tchu. Była jak porażona.

- Czyś ty zwariował? W życiu nie słyszałam czegoś podobnego i równie...

- Wiem, że w pierwszej chwili to wydawało ci się dziwne i głupie - lekko się sumitował - ale może dasz się namówić? Na pewno spojrzysz na to inaczej, gdy omówimy bardziej osobiste szczegóły.

Słyszając to, powinna obruszyć się jeszcze mocniej, ale wcale tak się nie stało. Na samą myśl o bliższym kontakcie z Rileyem zrobiło się jej gorąco. Poczowała dreszczyk na plecach. Pośpiesznie wzięła się w garść.

- Niestety - powiedziała spokojnie - to wykluczone. Większość kobiet, również ja, chce wyjść za mąż z miłości. Domyślałam się, że dla niektórych to bardzo kontrowersyjne i niezrozumiałe podejście.

Riley skrzywił się. Oczy mu spochmurniały.

- Wiele par pobiera się z rozsądku - rzekł. - Podobno miłość pojawia się po ślubie. Zresztą nieważne, złotko. Jestem zdecydowany.

- Nie bądź taki pewny. Dzisiaj kobiety obywają się bez mężczyzn. Są niezależne, wierzą w siebie. Nie będzie łatwo znaleźć ci żonę, bo... - Zapatrzyła się w jego szare oczy i głos uwiązł jej w gardle.

- Bo co?

- Zastanawiam się...

- Nad czym?

- Nad całą tą sprawą.

Bo problem jest złożony. Przejrzała tego faceta na wylot. Jest szczerzy, niczego nie ukrywa. Dąży do celu najprostszą drogą. I jest zdeterminowany. Koniecznie chce się ożenić.

Wyobraźnia podsuwała jej wyraziste obrazy. Riley jadący na dorodnym wierzchowcu, zatrzymujący się na pastwisku, by obejrzeć ogrodzenie. Riley rozebrany do pasa, z widłami w ręku, w kowbojskim kapeluszu nasuniętym na czoło.

Samotnie pijący kawę przy kuchennym stole... i nikogo, z kim mógłby pogadać, popatrzeć na zachodzące słońce, na gwiazdy migoczące na bezkresnym niebie.

Ma dość życia w pojedynkę. Przyjechał do Valentine, by spotkać przyszłą żonę, którą poznał przez ogłoszenie. Powiedział, że chce się ożenić. Że ma udane życie, które teraz chciałby wieść we dwoje.

Słyszała o różnych powodach, dla których ludzie szukają swej drugiej połowy. Lepszych i gorszych. Nieraz swatała pary, bo intuicyjnie czuła, że tego właśnie im trzeba. Bo pragną miłości, pełniejszego życia. Może Burke jest dobrym kandydatem?

Ale nikomu nie można niczego zagwarantować...

Jest w nim coś dziwnego, coś, co sprawia, że Venus traciła ostrość widzenia, zdolność właściwej oceny. Chwilami czuła się zagubiona i dezorientowana. Powinna przecież wyczuć, że on i Moira...

Podjęła decyzję. Spróbuje, może się uda. Bo im szybciej się go pozbędzie, tym lepiej dla niej.

- Zgoda. Znam większość osób w Valentine i okolicy. Postaram się poznać cię z kimś, kto może okazać się odpowiedni dla ciebie. Ale niczego nie obiecuję. Zrobię, co w mojej mocy, reszta należy do ciebie.

- Tak po prostu?

- Tak po prostu. - Pstryknęła palcami. - Właśnie tak. Riley uśmiechnął się szerzej.

- No, to jesteśmy umówieni, skarbie. Nie ma na co czekać. Zapraszam cię na kolację. Omówimy szczegóły.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dlaczego się zgodziłam? - zastanawiała się, wchodząc do „Swingin'Door Steakhouse”. Aż nią wstrząsnęło, gdy już od progu dostrzegła przy barze Florę Williams. Niedawno się rozwiodła. Siedziała prowokacyjnie wygięta i gapiała się prosto na Riley'a.

Zerknęła przez ramię, by sprawdzić jego reakcję. Odwzajemnił zachęcający uśmiech Flory. Wezbrała w niej złość.

A on pochylił się do niej i szepnął:

- Poznaj mnie z nią.

Odwróciła się gwałtownie, niechętnie szturchając go łokciem w brzuch, i pociągnęła do stolika z drugiej strony sali, z dala od baru.

- Nie pasuje do ciebie - ucięła. - Takich jak ona nie pociągają przejażdżki o zachodzie. To całkiem inny typ.

Riley zafrasował się.

- Liczyłem, że poznasz mnie, z kim tylko się da.

- Zrobię to, ale najpierw muszę choć trochę cię poznać.

Zorientować się, jaki jesteś i kto byłby dla ciebie najlepszy. Ustalić, na czym ci zależy.

- Chcę się ożenić - rzekł z naciskiem.

- To już wiem. Ale chyba chcesz również, by to małżeństwo nie rozpadło się zaraz po ślubie, więc Flora odpada. Stały układ to nie dla niej.

- Flora? Tak ma na imię? - Zerknął w kierunku baru, a Flora od razu posłała mu zniewalający uśmiech.

- Tak - potwierdziła sucho. - Ale w przeciwieństwie do tutejszej flory, ta Flora trudno się adaptuje do nowych warunków i szczerze wątpię, by się u ciebie przyjęła.

Riley starał się ukryć rozczarowanie, lecz nie zdołał oszukać Venus.

Naiwny jak dziecko, podsumowała. Szczególnie jeśli chodzi o kobiety w rodzaju Flory. Sto razy by go sprzedała, a on by się nawet nie zorientował.

Biedaczek, trzeba go dobrze pilnować, bo jeszcze ktoś go skrzywdzi.

- Opowiedz mi o swoim ranczu - zmieniła temat.

- Co ci powiedzieć? Gdy miałem pół roku, ojciec wsadził mnie na konia, i tak już zostało.

- Czyli był prawdziwym kowbojem.

- Nie. Handlował końmi i pił na umór. - Nie zauważył, że Venus zacisnęła palce na menu. - Uważał, że jeśli poznam świat z wysokości siodła, to wystarczy. I w ten sposób spełnił swoją rolę.

- Czyli życie spędziłeś wśród koni - rzekła ostrożnie.

- Cóż, można to tak ująć. Ale przedstawiając mnie swoim znajomym, nie mów, że jestem kowbojem, tylko ranczerem.

W co ja się wpakowałam? - pomyślała w popłochu, zaraz jednak usłyszała, po co ta dziwaczna konspiracja.

- Ojciec nikomu nie przepuścił, mamę i mnie trzymał krótko, delikatny był tylko w stosunku do koni. Nie chcę być z nim kojarzony. Małżeństwo rodziców nie wytrzymało próby, natomiast ja zrobię wszystko, by historia się nie powtórzyła.

- Skoncentrowałeś się na prowadzeniu rancza?

- Tak. Konie też hoduję, i to jedne z najlepszych w kraju. Ojciec wciągnął mnie w branżę, natomiast dzięki mamie skończyłem studia w Teksasie. Wiem, jak zarządzać ranczem.

- Czy to znaczy, że wychowywała cię mama?

- Nie. Odeszła, gdy miałem sześć lat. Ojciec się nie sprzeciwił, ale mnie nie puścił. Oświadczył, że jego syn nie zostanie miejskim gogusiem, który chodzi w szortach i gra w zespole rockowym.

- Z tego wynika, że twój ojciec miał twardy charakter.

- Zgadłaś! - prychnął.

Kłębiło się w niej coraz więcej sprzecznych myśli. Może niepotrzebnie się w to ładowała?

- Riley, na pewno chcesz się ożenić? Nie miałeś w życiu zbyt

dobrych wzorców. Cóż, mówiąc wprost, obawiam się, że niezbyt dokładnie zdajesz sobie sprawę, na czym polega prawdziwe życie rodzinne.

Wyciągnął rękę, dotknął jej przedramienia. Poczowała miły dreszczyk... i natychmiast stała się czujna.

- Wiem, do czego zmierzasz - powiedział z powagą - ale zaręczam, że nie jestem taki jak ojciec czy też mama. Nie uciekam przed problemami, jak zrobiła to ona, ani nie ustawiam świata pod siebie, jak czynił on. To prawda, jestem twardy, ale nie idę po trupach do celu i nikogo do niczego nie zmuszam. Nic mnie nie przeraża i nie ma dla mnie rzeczy niewykonalnych. Ze wszystkim dam sobie radę, nic mi nie przeszkodzi. Zwłaszcza kobieta.

To oświadczenie wiele o nim mówiło.

Nie mogła się poruszyć. Nie mogła znaleźć właściwych słów. Nie teraz, gdy trzyma ją za rękę, a jego twarz jest tak blisko, oświetlona migoczącym płomykiem świecy.

Jest silny, wie, czego chce. To oczywiste. Lecz jednocześnie wyczuwała w nim trudną do zdefiniowania słabość. Ta niejednorodność jego natury zbijała ją z tropu. Tajemniczy facet. Prawdziwe wyzwanie. Każda kobieta chciałaby takiego okiełznać. Wiele by dała, by lepiej go poznać, rozszyfrować jego sekrety.

Rozluźnił uchwyt. Muskał kostki na jej przegubie.

- Popatrz - powiedział cicho. - Ta dziewczyna, która właśnie weszła do środka, chyba z rodzicami. Brunetka. Co o niej powiesz?

- Jest za... - Zamrugła, uświadamiając sobie, że już go

zniechęca, choć jeszcze jej nie widziała. - Za młoda - dokończyła bez przekonania, starając się pokryć zmieszanie.

- Za młoda? Co ty opowiadasz?

Venus popatrzyła na szczudłowatą kobietę.

- Ach, to Clare Vollner - powiedziała szeptem, zaskoczona, że kogoś takiego Riley w ogóle wziął pod uwagę. - Odpada w przedbiegach. Jest późnym dzieckiem. Mieszka z rodzicami, opiekuje się nimi. Gdy powiedziałam, że jest za młoda, miałam na myśli, że brak jej życiowego doświadczenia.

- Aha.

- Widzisz, jak jest pochłonięta rodzicami? Owszem, to dobrze o niej świadczy, ale z góry mogę powiedzieć, że ktoś taki zupełnie by do ciebie nie pasował. Popatrz tylko...

Clare posadziła rodziców przy stole, wygładziła ojcu kłapy przy marynarce, podała mamie tabletki i szklanek wody.

- Cóż, widzę pewną sprzeczność - rzekł Riley. - Według ciebie jedna jest zbyt doświadczona, a druga nic nie wie o życiu.

- Według mnie wpadasz z jednej skrajności w drugą - zareplikowała. - Spokojnie, nie bądź w gorącej wodzie kąpany. Wszystko wymaga czasu. Dźwięczały mu w uszach te słowa, gdy wybierali potrawy i składali zamówienie. Miał je w pamięci, gdy zabrali się do jedzenia. Przyglądał się Venus. Świetna dziewczyna. Urocza, pełna życia. Wyraźnie zadowolona z faktu, że udało się jej odwrócić jego uwagę od innych kobiet i sprawy, w jakiej się tu spotkali. Zabawiała go anegdotkami z poczty.

Gdy się śmiała, kąciki ust poruszały się w górę, leciutko wydymała wargi, chwilami odsłaniała perłowe ząbki. Przypatrywał się temu zafascynowany.

Uśmiechnął się do siebie. Jest lepiej, niż przypuszczał.

- Uparli się, żebym wzięła tydzień urlopu przed walentynkami - paplała - bo w zeszłym roku mieliśmy urwanie głowy. Wszyscy chcieli, żeby Venus własnoręcznie podpisywała kartki na dzień zakochanych, niby na szczęście.

Rileya szczerze rozbawiła ludzka naiwność, gdy nagle przypomniał sobie, że przecież, na dobrą wróżbę, sam umówił się z Moirą na pocztę w Valentine.

- Ludzie stali w kolejce - ciągnęła Venus - na chodniku po kostki w śniegu, a jeden chłopak prosił, żebym nie stawiała pieczątki, tylko pocałowała kopertę. Miał nawet ze sobą szminkę, bym odcisnęła usta. - Gdy Riley popatrzył na nią z niedowierzaniem, koniuszkiem języka zwilżyła wargi. - Nie zrobiłam tego, bo trwałoby to zbyt długo. Miał ze czterdzieści kartek, a ludzie w kolejce już zaczęli się niecierpliwić.

- Widać sądzili, że masz szczególną moc - podsumował.

- Chcieli w to wierzyć. - Uśmiechnęła się tajemniczo. - To niesamowite, jak ogromna jest siła sugestii.

- Właśnie tego po tobie oczekuję. Że zapoznasz mnie z odpowiednimi pannami i zasugerujesz im...

- Jasne, ale potem radzisz sobie sam. Będzie, co będzie.

- Już wiesz, z kim mnie poznasz? Proszę... - Ostatnie słowo skierowane było do kelnerki, której wręczał kartę.

- A kogo chciałbyś? Żeby jaka była?
- Porządna, godna zaufania, rozsądna, solidna, bystra. Nie może się bać ciężkiej pracy i...

Venus uciszyła go ruchem ręki.

- Zaraz, poczekaj. Najpierw ustalmy, o jaki z dwóch generalnych typów ci chodzi. Ma być skautką czy piesek kanapowiec? No jak?

- Ktoś z poczuciem humoru - powiedział rozbawiony. - Ktoś taki jak ty.

Kelnerka przyniosła wydruk do podpisu, więc Riley nie dostrzegł wrażenia, jakie na Venus zrobiły jego słowa.

- Zaraz, zaraz... - cedziła słowa. - Coś mi się kojarzy... -
Wzruszyła ramionami. - Choć pewnie ta dziewczyna już jest zajęta. Jak większość z takimi zaletami.

- Super - mruknął ponuro. - To dla mnie świetnie rokuje.

- Nie poddawaj się, nawet jeszcze nie zaczęliśmy. Na pewno znajdę ci żonę, ale muszę dokładnie poznać twoje wymagania. Tylko wtedy dobiore właściwą kandydatkę. To chyba dla ciebie jasne? -
zapytała, wstając od stolika i zerkając na Rileyę przez ramię.

Przez mgnienie w jej oczach zamigotał dziwny, wręcz nieziemski blask. Jak jasnoblękitna iskra. Riley znieruchomiał z wrażenia, przeszył go dreszcz. Płonął, nie był w stanie logicznie myśleć. Przepęłniły go uczucia i pragnienia, jakich jeszcze nigdy nie doświadczył. Pojął, że zaczęła nim kierować jakaś ogromna, niepojęta siła.

Otrząsnął się, wyrwał z zauroczenia.

Do diabła! Nie z nim takie numery. Musi być jakieś wyjaśnienie

tego chwilowego odjazdu. Może to wina światła, które odbijało się w oczach Venus?

Nim wyszli, całkiem się pozbiarał. Znów był sobą.

- Czyli umowa stoi. Znajdziesz mi żonę.

- Jak najbardziej.

- Na pewno mnie nie zwodzisz?

- No wiesz! Skoro twoja narzeczona przeze mnie się wycofała, zrobię co w mojej mocy, by znaleźć ci inną.

Popatrzył na nią uważnie. W jej głosie usłyszał leciutką nutę ironii, co dziwnie na niego podziałało.

- Wiesz, mój ojciec mawiał, że umowę przyklepuje się dwojako: mężczyźnie ściska się dłoń, a kobietę całuje.

Oczy Venus rozszerzyły się ze zdumienia: głęboki, niewinny błękit. Zaś usta, tak same z siebie, rozchyliły się. Nie mógł odmówić sobie tej przyjemności. Za nic.

- Na szczęście - powiedział, pochylając się ku niej. - Dla ciebie. Dla mnie. I za moje szybkie małżeństwo.

Nie cofnęła się. Przygarnął ją ku sobie. Szczupłe, sprężyste ciało i rozkosznie miłe krągłości. Serce zabiło mu żywiej, zaszumiała krew.

Pragniesz tej kobiety, uświadomił sobie nagle.

Nie, to przecież nie ta, z którą się ożeni.

Cofnął się z ociąganiem. Popatrzył na jej zamknięte oczy, leciutko drżące powieki. Wydawała się taka bezbronna, zdana na jego łaskę. Ogarnęły go wyrzuty sumienia. A przecież to miał być tylko zwyczajny, nic nieznaczący pocałunek.

Ostrożnie odsunął ją od siebie.

- Venus?

- Tak...?

Oddychała płytko, z trudem.

- Cześć, Venus!

Venus odwróciła się, wolno wracając do rzeczywistości.

- Jane? Och, to ty, Jane! Cześć! Co dobrego?

- Jakoś leci. Pędzę, bo umówiłam się z Gregiem i Marcy na kolację. Jak zwykle we wtorek. - Wysoka dziewczyna z zainteresowaniem popatrzyła na Rileyę. Wszystko wskazywało, że była w okresie łowów, to znaczy szukała męża.

Między nim i Venus coś się wydarzyło, ale to nie znaczy, że wypuści z rąk taką okazję. Riley uśmiechnął się szeroko, po czym spojrzał na Venus i rzekł:

- Może przedstawiś mnie swojej znajomej? Venus szarpnęła się, jakby ją uszczypnął.

- Nie, nie teraz.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Słucham?

Venus poruszyła się niespokojnie.

- Bo teraz... - Zagryzła dolną wargę. - Bo Jane gdzieś pędzi. Jak ją znam, już jest spóźniona.

Jane wcale się nie spieszyła, tylko z wdziękiem poprawiła włosy i roześmiała się głośno.

- Ale ty mnie znasz, Venus! Niestety, to moja pięta achillesowa.

Zawsze się spóźniam, choćbym nie wiem jak się starała. - Klepnęła Venus po plecach, popatrzyła Rileyowi prosto w oczy. - Może następnym razem, kowboju. Gdy nie będziesz tak zajęty Venus.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W drodze do domu ukradkiem zerknęła na Rileyę. Ciągłe nie mogła się pozbierać. Co jakiś czas dyskretnie dotykała językiem nabrzmiętych warg.

Na samo wspomnienie tego pocałunku wirowało jej w głowie, a ciało ogarniała przyjemna słabość. Jeszcze nigdy nikt jej tak nie pocałował. W dodatku na ulicy, tuż przed wejściem do restauracji, w świetle migoczących neonów. Facet, który ma być jej klientem. Nieprawdopodobne!

Jeszcze raz rzuciła na niego spojrzenie spod rzęs. Nie ma porównania z chłopakami, z którymi chodziła w liceum. Byli młodzi, niedoświadczeni. Nie to, co Riley.

Po maturze przez dwa lata spotykała się z Rogerem. Był świetnym kumplem... i tyle. Ich związek, poza pocałunkami, które nie robiły na niej wrażenia, pozostał platoniczny. Roger zapowiadał się na dobrego męża i ojca, lecz ona chciała czegoś więcej. Postanowiła więc poczekać.

- Włączyć radio? Wyrwała się z zamyślenia.

- Tak, bardzo proszę. - Prowadził auto spokojnie, czuła się bezpiecznie.

- Może być? - upewnił się, znalazłszy stację ze spokojną, znajomą muzyką.

- Uhm, bardzo dobra.

- Wiesz, myślałem, że już dzisiaj znajdziesz mi żonę - powiedział Riley po chwili.

- Tak myślałeś? Że wyjmę ją z rękawa?

- Wiem, że to bez sensu, ale miałem takie przeczucie. Że może znasz kogoś, kto by się nadał, albo że... - Umilkł, wzruszył ramionami.

- Zresztą sam już nie wiem.

Może nie wierzy w jej pomoc?

- Słuchaj... - Zawahała się. - Czemu tak bardzo ci zależy na szybkim ślubie? Większości mężczyzn nie śpieszy się do ołtarza.

- Nie młodnieję, tylko wręcz przeciwnie. Spójrz na mnie. Pół roku temu skończyłem trzydzieści pięć lat.

Skoro sam do tego zachęcał, popatrzyła na niego uważnie. Mężczyzna w kwiecie wieku. Szczupły, muskularny. Płaski brzuch i szerokie bary. Atrakcyjny jak diabli, bez dwóch zdań.

- Kawaler po trzydziestce - podsumowała. - W dzisiejszych czasach jest ich na kopy.

- Tak? Pewnie znasz wielu takich... kawalerów. Poruszyła się niespokojnie, słysząc jego ton. Czyżby zamierzał z nią flirtować? To ją zaskoczyło.

- Ja? Nie, ale tak w ogóle to znam mnóstwo ludzi. Można

powiedzieć, że mam predyspozycje... - Urwała, nie chcąc odsłaniać się za bardzo. - Dzięki mnie łatwo nawiązują kontakt. Tak jak dzisiaj Moira.

- Ach tak... - mruknął ponuro.

- Nie znałeś jej wcześniej?

- Nie.

- Zaczęliście korespondować i postanowiliście się pobrać?

- Mniej więcej. - Wyraźnie chciał porzucić ten temat.

- Poczekaj. - Zawsze ją zadziwiało, jak różne drogi wiodą do miłości i małżeństwa. - Czyżbyś znalazł ją w piśmie z ogłoszeniami matrymonialnymi?

- A co to ma za znaczenie? - obruszył się. - Pisała do mnie miłe listy. Z korespondencji można wiele wywnioskować, sporo się o kimś dowiedzieć.

- I to wystarczy, by się z nią ożenić?

- Taki miałem pomysł. - Kiedy Venus wywróciła oczami, dodał szybko: - Co za różnica, skorzystać z biura matrymonialnego czy poznać kogoś w barze?

Venus już miała odpowiedź na końcu języka, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Biura matrymonialne, randki w ciemno, włączęgi po barach w poszukiwaniu drugiej połowy... Wszystko się w niej buntowało przeciwko takim metodom.

- No tak. Zastanawiam się tylko, po ci to było? Taki mężczyzna jak ty...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cóż, jesteś... dość przystojnym facetem - powiedziała ostrożnie.
 - Dość przystojnym - powtórzył.
 - Staram się oceniać ludzi sprawiedliwie.
 - Dobrze, mów dalej.
 - Wiesz, czego chcesz, nie boisz się pracy. Jesteś szczery, miły...
- Seksowny, dodała w duchu. To ją otrzeźwiło. Musi nabrać profesjonalnego dystansu. - Wydaje mi się, że powinieneś najpierw kogoś dobrze poznać. Sprawdzić, czy do siebie pasujecie.
- Poznałem Moirę dzięki listom. To wystarczy.
 - Ale czy... czy się w niej zakochałeś?
 - Zakochałem? A co to ma do rzeczy? - Był szczerze zdumiony. -
- Moira to miła kobieta. A miłość i takie tam sprawy ewentualnie mogą przyjść po ślubie. Venus najpierw wybałuszyła oczy, a potem ugryzła się w język. Boże, jak chętnie by mu wygarnęła! Jednak złagodziła swoją kwestię:
- Nie sadzisz, że miłość to dobry początek dla związku, który ma trwać do jak najpóźniejszej śmierci? A gdzie pocałunki, uniesienia... i takie tam sprawy? - Chrząknęła, przypomniawszy sobie ten nieprawdopodobny pocałunek.
- Riley popatrzył na nią.
- O czym ty mówisz? O seksie czy o miłości?
 - No tak, faceci to jednak głupsza połowa ludzkości - mruknęła do siebie. - Po prostu tracę czas. - A kiedy Riley lekceważąco wzruszył ramionami, dodała: - Mówię o prawdziwym związku, gdy obu stronom na sobie zależy. Gdy ta druga osoba jest kimś najważniejszym pod

słońcem.

- Ach, o to ci chodzi. Cóż, myślę, że to przychodzi z czasem. Przecież kiedy szedłem na spotkanie z Moirą, wiedziałem, że nie zakocham się w niej od pierwszego wejrzenia.

- Zaraz, zaraz! Nie wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

- Nie, nie wierzę.

- Ależ ona się zdarza! - zapewniła z przejęciem Venus. - Sama widziałam. Przychodzi nieoczekiwanie, jak grom z jasnego nieba. Ludzie spotykają się, popatrzą sobie w oczy... i po nich. - Pstryknęła palcami. - Hop i już!

Riley uśmiechnął się z lekką ironią.

- Hop! I zakochują się po uszy... Naprawdę widziałeś takie rzeczy?

- Wiele razy.

- No cóż, skarbie - mruknął. - Mnie się to nie przydarzy. Zrzędała jej mina. Czyli na nim ten pocałunek nie wywarł żadnego wrażenia. Najmniejszego.

- To dlatego, że nie chcesz się otworzyć.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Gdybyś pozwolił, by sprawy potoczyły się własnym rytmem... Co byś zrobił, gdyby okazało się, że Moira zupełnie nie jest w twoim typie? Że ci się nie podoba? I tak byś się z nią ożenił? Nie miałbyś żadnych wątpliwości?

- Cóż... - zaczął po dłuższej zadumie. - Potraktowaliśmy z Moirą nasz związek jak klasyczną umowę. Obie strony doszły do

porozumienia, ponieważ każda z nich uznała, że taki jest jej interes, i tyle. Mielśmy wypełnić odpowiedni formularz, zawrzeć małżeństwo, rozumiesz...

- Ale przecież...

- To bardzo rozsądne podejście, taki obopólnie korzystny układ.

Jak już mówiłem, nie wierzę w miłość, pokrewieństwo dusz i ciał, dozgonne szczęście. Owszem, to miło brzmi, ale nie zdarza się w codziennym życiu.

Nie to chciała usłyszeć. Wolą, by podzielał jej zapatrywania na miłość i małżeństwo. Zamiast tego opowiada bzdury o biurach matrymonialnych i urzędowych formularzach potwierdzających zawarcie ślubu. Nie wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia ani w miłość w ogóle. Według niego zdarza się to tylko w filmach.

Jak bardzo się mylił!

Nie miała osobistych doświadczeń, lecz nieraz była świadkiem, jak ludzie tracili dla siebie głowę. Cudowne, szalone uczucie spadało niespodziewanie i zagarniało wszystko, kompletnie zmieniając życie. Nie miało to nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem, była to bowiem zupełnie inna sfera doznań.

Postara się udowodnić mu, że tak właśnie jest. Co nie będzie proste.

Może przeceniła własne możliwości. Riley jest uparty, twardo trzyma się własnych poglądów. W dodatku niepotrzebnie tak się z nim spoufaliła. Ten pocałunek stanowczo nie powinien mieć miejsca.

Wszelkie osobiste związki osłabiały jej dar, powodowały, że traciła

ostrość widzenia, stawała się mniej skuteczna. Już to czuła.

Może powinna zwrócić się po pomoc do mamy? Jest w tych sprawach ekspertem. Niech ona mu kogoś znajdzie.

Tylko że mama rano leci do San Francisco na doroczny zjazd ludzi z branży matrymonialnej. Tata, który właśnie przeszedł na emeryturę, jedzie razem z nią. Już się cieszą, że to będzie ich drugi miesiąc miodowy.

Czyli mogła liczyć tylko na siebie. Co najwyżej, jeśli sprawy pójdą w złym kierunku, zwróci się po radę do Lizandry.

Postara się, by ten ślepiec wreszcie przejrzał na oczy i uwierzył w istnienie miłości. By zrozumiał, jak bardzo się myli. Ona sprawi, że się zakocha, nawet wbrew swojej woli.

- Riley, nie jestem pewna, czy nadajesz się do małżeństwa. Ale zrobię co w mojej mocy, byś wpadł w czyjeś ręce. Obiecuję ci to.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ciągle o niej myślał i nie mógł na to nic poradzić. Naprawdę była wyjątkowa. Wesoła, pełna życia, ujmująca, no i wielce urodziwa. A przy tym, mimo że tak młoda, miała zadziwiającą intuicję, wyczucie, głębokie wejrzenie w ludzką naturę.

Odkąd wrócił do siebie, wciąż rozpamiętywał spędzone z nią chwile. Venus. Ciekawe, co by powiedziała o jego domu, jak by oceniła jego życie. Czy już kiedyś była na ranczu? Czy jeździła konno? Chętnie by ją tego nauczył. Ta piękna gniada klaczka świetnie by do niej pasowała...

Venus w siodle, co za widok! Mogliby w jakiś piękny dzień wybrać się na przejażdżkę, beztroscy, roześmiani, zegarki zostawiliby w domu... Pomógłby jej wsiąść na konia, a potem zeskoczyć na ziemię. Chwyciłby ją w talii...

Znów by ją pocałował. Powietrze przesycone ciepłym zapachem wiosny, końskiej sierści...

A potem...

Dźwięczały mu w uszach jej zabawne uwagi na temat miłości i seksu. Choć, gdy się głębiej nad tym zastanović, może nie były aż tak pozbawione sensu?

Dopiero teraz zaczynało docierać do niego wiele rzeczy. Przede wszystkim uświadomił sobie, że do tej pory prawie się nad tą sferą życia nie zastanawiał. Ot, ludzie się żenią i od tej chwili są razem.

Umawiają się, że tak już będzie na zawsze.

Dwa miesiące temu uznał, że Moira będzie w sam raz dla niego. Ożeni się z nią i sprawa załatwiona, bez trudu i zachodu. Trochę czasu upłynie, zanim dobrze się poznają, a potem już popłyną dni, miesiące, lata.

Dziwne, że tak łatwo o niej zapomniał. Wyszła z poczty z tym nowo poznanym facetem i od razu wyrzucił ją z pamięci.

W sumie dobrze się stało. Nie była dla niego, nie nadawała się do życia na ranchu. Delikatna, krucha, przyzwyczajona do innych warunków. Nic by z tego nie wyszło.

Popatrzył na zegarek. Dziesiąta wieczór, piątek, czyli minęły trzy dni od ostatniej rozmowy z Venus. Niby krótko, a jakby to była cała wieczność.

Wbił wzrok w telewizor, by obejrzeć prognozę pogody. Wyjątkowo ciepło jak na styczeń. Kilkanaście stopni, a do tego słońce.

Uznał to za dobry znak, nawet za wskazówkę.

Jutro sobota, więc Venus pracuje tylko do dwunastej, popołudnie ma wolne. Cudowna pora na przejażdżkę.

Tłumiąc wyrzuty sumienia z powodu późnej pory, sięgnął po słuchawkę i wybrał numer Venus.

- Halo?

Głos jak tchnienie ożywczego powietrza.

- Venus?

- Tak. To ty, Riley? - zapytała wyraźnie ucieszona. Ciekawe, czy dlatego, że do niej zadzwonił, czy cieszy się, bo od razu go poznała? -

Ho, ho, przez telefon masz taki sam głos - powiedziała, nim znalazł odpowiedź na swoje pytanie.

- To znaczy jaki?

- Hm, bardzo charakterystyczny.

Odetchnął głębiej. Przyjemnie usłyszeć, że to zauważyła.

- Pomyślałem, że zadzwonię i dowiem się, jak ci idzie polowanie na moje panienki.

- Polowanie? - Zachichotała. - Można i tak to określić. Ale na panienki? Nie, raczej na czarownice, bo tylko taka dla ciebie się nada. A z tym towarem ostatnio krucho, więc musisz jeszcze poczekać.

Roześmiał się. Lubi jej poczucie humoru. Przy niej czuje się tak, jakby życie na nowo w niego wstąpiło. Od lat nie miał takiego przyływu energii.

- Może być i czarownica, tylko nie mów, że się poddałaś.

- Ja? Wykluczone, ale muszę działać zgodnie z planem, systematycznie.

- To znaczy?

- Najpierw eliminuję te, które od razu są do skreślenia.

- To źle.

- Dlaczego?

- Bo nikt nie zostanie na liście. Wiedział, że się uśmiechnęła.

- Aż tak tragicznie nie jest, choć wesoło to nie wygląda. -

Westchnęła dramatycznie.

- Na jutro zapowiadają piękną pogodę - zmienił temat. - Może po południu przyjadę po ciebie i wybierzemy się na przejażdżkę?

Moglibyśmy spokojnie wszystko omówić.

W telefonie coś zaszurało. Pewnie bawiła się słuchawką.

- Hm, no dobrze, możemy się wybrać.

- Przywiozę konie na przyczepie i...

- Konie?

- Pojeździmy konno.

- Aha. No dobrze. Myślałam, że chcesz się przejechać samochodem.

- Venus? Chyba nie boisz się koni?

- Skąd. Bardzo je lubię. Tylko...

- Tylko co?

- Coś mi nagle przyszło do głowy.

- Co takiego?

- Przypomniałam sobie taką starą piosenkę. Że miłość i małżeństwo są nierozłączne, tak jak powóz i koń. Nie wiem, skąd mi się to wzięło...

Riley uśmiechnął się szeroko.

- Nie przejmuj się. Wszystko jest jak trzeba.

Kolejny raz popatrzyła na zegar. Wskazówka stała jak zaklęta. Chyba nigdy nie dojdzie do dwunastej. Nie pamiętała, by kiedykolwiek praca tak jej się dłużyła. Zwykle nigdzie się nie śpieszyła, przed wyjściem dokładnie wszystko sprawdzała, by zostawić absolutny porządek. Dzisiaj było inaczej. Pięć minut przed czasem zamknęła drzwi na cztery spusty.

Pięć minut bliżej do spotkania z Rileyem.

Gdy sobie to uświadomiła, zaparło jej dech, a zarazem ogarnęło ją poczucie winy.

Miała poszukać mu narzeczonej. Zamierzała to zrobić. Naprawdę. Ale jak na razie nawet nie kiwnęła palcem. Ciągłe coś stawało na przeszkodzie, coś było nie tak. Ledwie o jakiejś kandydatce pomyślała, od razu ją skreślała. Ale cóż, każda z nich, gdy się lepiej przyjrzeć, miała tyle dyskwalifikujących wad... A Venus zależy, by poznać Riley'a z ideałem, który pokocha bez zastrzeżeń, na zawsze.

Powtórzyła w duchu swoją osobistą mantrę. Robiła to tylko w wyjątkowych, najtrudniejszych przypadkach.

Teraz właśnie z takim miała do czynienia. Riley pragnie miłości, choć nie zdaje sobie z tego sprawy. Słyszała to w jego głosie. To dobry znak.

Jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, otworzy przed nim świat uczuć, których istnienia nawet się nie spodziewał. Pokaże mu miłość, rzuci go na kolana. Ta myśl dodawała jej skrzydeł. Jeśli się jej powiedzie, będzie to największy sukces w całej karierze.

Obawiała się tylko tego, że jej samej na nim zależy. Nie mogła przestać o nim myśleć. Przystudiowała jego wykresy astrologiczne, zbadała układ gwiazd, by określić cechy charakteru Riley'a i zgodność z innymi znakami. Efekty może nie były zaskakujące, ale wydawały się bardzo, bardzo ciekawe...

Ma dobre zadatki. Można liczyć na jego lojalność i solidność. Musi tylko trafić na właściwą kobietę.

Nie można jednak wykluczyć, że Riley będzie się bronił i otoczy się skorupą nie do przebiccia. Tacy ludzie się zdarzają. Zwłaszcza silni i niezależni. Choć wiedziała, że właśnie tacy pociągali niektóre kobiety.

Ją również. Cóż, tacy mężczyźni są najtrudniejsi do zdobycia. Kojarzą się z romantycznymi bohaterami.

Powinna traktować go jak klienta. Profesjonalnie i z rezerwą. Lecz nie mogła. W jego obecności stawała się inna. Krew szumiała w żyłach, serce biło szybciej, przepełniała ją energia.

Co dziwniejsze, przy nim doznawała widzeń o swojej przyszłości. Obraz był zamazany, lecz jego brzegi tonęły w różach. Czerwone róże. A właśnie one były dla Venus prywatnym symbolem miłości. Miewała już takie momenty, lecz jeszcze nigdy róże nie wydawały się tak piękne, tak doskonałe, tak świeże.

I jeszcze nigdy nie czuła się przy kimś tak pełna życia. To ją oszalało. I budziło czujność. Niewielki bungalow Venus mieścił się w południowej części Valentine. Domek był skromny, lecz robił miłe wrażenie. Venus starannie dobrała barwy farb, pod oknami zawiesiła skrzynki z kwiatami, frontowy trawnik ogrodziła białym płotkiem z niewielką furtką.

Gdy podjechała pod dom, samochód z przyczepą już stał na podjeździe. Tylna kłapa była opuszczona i drobna gniada klacz o jedwabistej grzywie delikatnie szturchała stojącego obok Riley'a. Venus szybko zaparkowała i pośpiesznie wysiadła z auta.

- Zrobiliśmy daleką drogę, złotko - uśmiechnął się Riley.
Rozbroił ją tym powiedzeniem. Takie powitanie ogromnie przypadło

jej do gustu. Nie zwykle „Cześć, co słyszeć?”. Trochę poufale, trochę zalotnie...

- A kogo my tu mamy? - zapytała, wyciągając dłoń do klaczki.

- To Różyczka - odparł, cofając się o krok, by zrobić jej miejsce.

Venus zamruwała. Zawirowało jej w głowie.

- Różyczka?

- Z powodu jej maści. Kasztanoworóżowa, jak róża. Najpiękniejsza róża w okolicy.

Uśmiechnęła się z przymusem. Czy to tylko zbieg okoliczności? Przecież widziała róże, przepiękne róże. Czyżby w wizji chodziło o konia?

- Jest prześliczna - wymamrotała. Riley uśmiechnął się szeroko.

- Wprost wymarzona dla ciebie. Jakbyście były dla siebie stworzone. Twoje włosy mają podobny kolor. - Zachłannie spojrzął na Venus.

Przeszył ją dreszcz, jakby poczuła na sobie jego dotyk. Żadnych poufałości! - zgromiła się w duchu.

- Widzę, że to było przemyślane działanie - powiedziała, starannie dobierając słowa. - Dobrze wiedzieć. Przy dobrej woli można to nawet uznać za romantyczny gest. Wiele kobiet by to doceniło.

- Myślisz, że dostanę za to dodatkowe punkty podczas poszukiwań kandydatki na żonę?

- Bardzo możliwe - rzekła, gładząc Różyczkę po grzywie.

- Czy to znaczy, że poznasz mnie ze swoimi koleżankami?

Wzdrygnęła się. Niby z jakiej racji miałyby wyświadczać im taką

przysługę?

- Raczej nie. Moje koleżanki nie są na tym etapie. Zresztą nie ma ich tutaj, fruują po całym kraju. Wiesz, teraz każdy chce zrobić karierę, poznać świat. Ślub i założenie rodziny odkłada się na później. Taka moda.

Prychnął pogardliwie.

- Jasne. Teraz je to rajcuje, ale gdy dojdą do mojego wieku, oczy im się otworzą i zobaczą, że w życiu liczą się jeszcze inne rzeczy. Wtedy zaczną się martwić, czy przypadkiem do końca życia nie zostaną same.

Venus popatrzyła na niego, zacisnęła palce na uprząży.

- To cię dręczy? Zastanawiasz się, co ci umknęło? Podniósł na nią wzrok. W jego oczach malowała się zaskakująca łagodność. Trwało to ledwie mgnienie.

- Nie mówiłem o sobie - uciął wszelkie dalsze pytania - tylko generalnie o wszystkich. Ludzie ciągle gdzieś gonią, liczy się tylko kariera, biznes, różne bzdury. Każdy myśli, że spokojnie zdąży znaleźć swą drugą połowę, więc odwleka to w nieskończoność.

- No tak, masz rację.

Riley delikatnie podrapał Różyczkę po nosie.

- Czyżbym powiedział coś nie tak?

Nie chciała stawiać go w niezręcznej sytuacji, zbyt mocno naciskać. Na pierwszy rzut oka widać, że nie potrafi się otworzyć i mówić o swoich uczuciach. Choć tak by chciała dowiedzieć się więcej, poznać powody tej powściągliwości.

- Wydaje mi się, że jesteś dobrym kandydatem do małżeństwa. Tylko... - urwała, zagryzając dolną wargę. Popatrzyła na niego i pochwyciwszy jego spojrzenie, szybko się zreflektowała. Przestała gryźć wargę. To może zostać błędnie zinterpretowane, jako sygnał, swoista zachęta. - Zależy mi tylko na jednym. Chciałabym poznać cię lepiej. Dzięki temu łatwiej mi będzie znaleźć odpowiednią dziewczynę.

Uśmiechnął się. Gdy się uśmiechał, robiły mu się dołeczki w policzkach. To ją urzekło.

- Venus... - W jego głosie zabrzmiała ledwie słyszalna nutka rozbawienia. - Mam wrażenie, że traktujesz to jak wyzwanie, rodzaj gry. Przyznaj się, czy przypadkiem nie odhaczasz na łóżku każdej wyswatanej pary?

- Nie pleć głupstw - obruszyła się, ciesząc się w duchu, że nie widział narzuty przykrywającej jej łóżko. Każde naszyte serduszko symbolizowało kolejną szczęśliwą parę. - To moje imię skłania do takich przypuszczeń. Nawet nie wiesz, ile zgryzot mam przez nie. Myślałam, że przyjechałeś zabrać mnie na przejażdżkę i że będziemy rozmawiać o tobie.

Riley uśmiechnął się ujmująco.

- Masz rację. Nie będę się narażać, tyle dla mnie robisz. - Przesunął wzrokiem po jej uniformie. - Chcesz się przebrać?

Skinęła głową.

- Daj mi dwie minuty. - Popatrzyła na Różyczkę, potem na drugiego konia, który stał na przyczepie. - Masz ochotę wejść?

Zerknął na okna ozdobione walentynkowymi dekoracjami.

- Nie, dzięki. Wyprowadzę i osiodłam Archiego. Szkoda czasu, gdy jest taka piękna pogoda.

- To prawda, aż się nie chce wierzyć, że jest tak ciepło. - Venus rozprostowała ramiona i wzniosła oczy do nieba. - Połowa stycznia, a wciąż da się chodzić bez płaszcza. Można by pomyśleć...

- Co?

- Że sprzyjają nam mityczne Parki - powiedziała w zamyśleniu.

- Parki? - Zaśmiał się. - Chyba nie wierzysz w takie rzeczy jak przeznaczenie, co?

- Ja? Skądże - zapewniła, przesądnie zaciskając z tyłu palce. - Z całą pewnością nie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przejechali miasteczko i ruszyli szosą. Droga była zupełnie pusta. Po kilku kilometrach minęli kamieniołom. Riley odwrócił się w siodle.

- Niedługo dojedziemy do tawerny „Windmill”. Chcesz się tam zatrzymać?

- Koniecznie. - Venus stanęła w strzemionach. Nie była przyzwyczajona do konnej jazdy i wszystko ją bolało. - Poza tym kto wie, może właśnie dziś spotkasz tę jedyną? Stoi za barem i czeka, aż się pojawisz.

- Myślisz, że to możliwe?

Usiadła w siodle i podjechała do Riley'a.

- Raczej nie, ale chyba przyjemniej się żyje z taką nadzieją?

Popatrzył na nią z pobłażliwym uśmiechem.

- Sądziłem, że wreszcie porządnie omówimy moje sprawy matrymonialne, ale tylko krążymy wokół tematu.

- Raczej go objeżdżamy na ślicznej Różyczce i dzikim rumaku.

- Opłaciłem wyjazd do Las Vegas, łącznie z kaplicą. Ustaliliśmy z Moirą, że od razu weźmiemy ślub, by odciąć sobie drogę odwrotu.

- Tak to sobie wykoncypować...

- Właśnie. Czternastego lutego powinienem wziąć ślub.

Z wrażenia wręcz zapało jej dech. To jej dzień. Najważniejsze wydarzenia w jej życiu miały miejsce właśnie czternastego lutego.

Odwróciła się do Riley'a. Zrobiła to tak raptownie, że dotknęła udem jego kolana i z miejsca poczuła ciarki na plecach. Wbiła w niego wzrok.

- Coś się stało? - zdziwił się.

- Dlaczego wybrałaś właśnie ten dzień?

- To walentynki. Kwiaty, czerwone serduszka, te rzeczy. Kobiety to lubią. Przynajmniej tak mi się zdaje.

- Aha. Czyli dlatego wybrałaś tę datę. Pomyślałaś, że jej to się spodoba. Czyli to nie było samo z siebie?

- Co to znaczy: samo z siebie?

Nie odpowiedziała. Próbowwała się uspokoić. Cóż, ten plan dotyczył Moiry i już się zdezaktualizował, tłumaczyła sobie. Na próżno. Bo wnioski nasuwały się same.

Nie przyznał tego wprost, lecz jego intencje były oczywiste. Kierował się własnym interesem, i był gotów na wiele, żeby tylko postawić na swoim. Nawet przełknąć te kwiaty i serduszka, byle przypodobać się Moirze. To budziło niepokój.

Nie dostrzegł, że nagle zmienił się jej nastrój. Wjechali na parking obok baru. Riley zatrzymał się przy ganku, zeskoczył z konia i spojrzał na Venus.

- Może ci pomóc?

Światło załamywało się na rondzie jego kowbojskiego kapelusza, część twarzy pozostawała w cieniu. Mocne, szerokie bary budziły zaufanie, kusiły, by szukać w nich schronienia i czułości. Na samą myśl ogarnęła ją dziwna słabość.

- Ja... zaraz...

- Poczekaj. - Chwyił wodze Różyczki i wyciągnął prawą rękę. - Wiem, że nie jesteś przyzwyczajona do jazdy. Przytrzymała dłonią siodło, drugą położyła na jego barku. Przez materiał koszuli czuła twarde jak kamień mięśnie, bijące od niego ciepło.

Gdy przerzuciła nogę przez siodło, przytrzymał Venus w talii. Powoli ześlizgnęła się na dół, opierając się o Rileyę.

- Mam nogi jak z waty - mruknęła.

- Początki są trudne, ale nawet się nie obejrzysz, a będziesz jeździć, jakbyś robiła to od małego.

- Hm, zobaczymy - mruknęła bez wielkiego entuzjazmu. Dopiero teraz dotarło do niej, że stoi osaczona między Rileyem a Różyczką.

Przesunął wzrok ponad jej ramieniem, zmarszczył brwi, wy-

ciągnął rękę i zaczął poprawiać coś przy siodle klaczy. Teraz był jeszcze bliżej Venus. Z jednej strony wodze, z tyłu Różyczka, on na wprost. Jego ręka zagradzała przejście. Nie bała się go. Więcej, ufała mu.

- Jak ci się wydaje - pochylił się, patrząc jej prosto w oczy - czy to dobry sposób na spędzanie sobotniego popołudnia?

- Oczywiście - odparła nieco spłoszona. - Bardzo dobry.

- A ja dopiero teraz na to wpadłem. Do tej pory sądziłem, że to najlepsza pora na różne prace w gospodarstwie. Objeżdżanie pastwisk, zbieranie siana, sprzątanie stajni.

Archie podniósł łeb znad beczki, Różyczka lekko napała na niego, by dostać się do wody, dzięki czemu Venus zyskała trochę miejsca. Teraz już mogła się cofnąć, lecz ku własnemu zaskoczeniu i konsternacji jej ciało za nic nie chciało znaleźć się choćby centymetr dalej od Riley'a.

Bawił się wozami. Też nie drgnął z miejsca.

- Często tu przyjeżdżałem, gdy byłem dzieckiem.

- Naprawdę?

- To była jedna z ulubionych knajp ojca.

- Przecież to spory kawał.

- Mój ojciec nie znosił małych miasteczek. Uważał, że ludzie umierają z nudów, dlatego każdego się czepiają. A on uwielbiał się bawić.

- Dlatego trzymasz się z dala od miasta? I nie próbujesz tam szukać sobie dziewczyny?

- Coś w tym stylu - mruknął.
- Rozumiem, że wokół są niewielkie miasteczka, jednak...
- Wiele osób dobrze pamięta mojego ojca i nie chce mieć nic wspólnego z jego synem. Mówi się przecież, niedaleko pada jabłko od jabłoni. - Przywiązał wodze do barierki. - Sama widzisz, że z taką opinią nie mam szans, by znaleźć sobie dziewczynę. Najlepiej w ogóle się tam nie pokazywać.

Powoli wiele rzeczy się wyjaśniało. Jako dziecko musiał sporo przeżyć, z czego brały się urazy i lęki, które wpłynęły na całe życie.

Siedzieli nad parującym cappuccino.

- No, to przejdźmy do rzeczy. Powiedz mi szczerze, znalazłaś już jakąś kandydatkę?

- Posłuchaj... - Nie patrzyła na niego. Bawiła się filiżanką. - Wciąż o tym myślę, ale Valentine to też małe miasteczko. Nie ma dużego wyboru.

- Może przesadzasz, przywiązując tak dużą wagę do szczegółów, albo na odwrót, nie traktujesz sprawy dostatecznie poważnie. Jak do tej pory wciąż stoimy w miejscu. Masz choćby jedną osobę?

- Podchodzę do tego bardzo poważnie - zaproponowała.
-Przejrzałam twoje wykresy astrologiczne, sprawdziłam biorytmy, zgodność z innymi znakami zodiaku... - urwała, uświadamiając sobie, że niepotrzebnie tak się odsłania. Patrzył na nią uważnie.

- Wiesz, czasami odnoszę wrażenie, że sobie ze mnie żartujesz. Wiejski frajer i chichotka z miasteczka, czyli ubaw po pachy. Czy tak?

- Ależ skąd! - krzyknęła. - Jak w ogóle mogłeś tak pomyśleć? Nigdy nie żartuję z tak poważnych kwestii. Problem jednak w tym, że chyba powinnam zdecydowanie poszerzyć krąg moich poszukiwań. Co z tego, że znam mnóstwo młodych kobiet, skoro żadna z nich nie wydaje mi się dla ciebie odpowiednia? Stuprocentowo odpowiednia.

- Hm... tak... No cóż, wiem, że nie jestem łatwym przypadkiem. Ludzie widzą we mnie twardziela. - Tak, w najlepszym sensie tego słowa, potwierdziła w duchu. - Faceta, który nikomu nie popuści. - Mylisz się, zareplikowała. Jesteś dla nich wyzwaniem. - Porywczego i mało kontaktowego. - Rozpaczliwie łaknącego, by ktoś się nim zajął i oswoił.

- Każda kobieta się na to złapie, Riley. Każda pragnęłaby stawić czoło tym twoim wadom. Choć może niepotrzebnie się tak przejmuję? Może sprawa okaże się prostsza, niż przypuszczam? Kto wie...

- Venus, mam propozycję. Jeśli chcesz powiększyć krąg poszukiwań, ruszmy się poza granice stanu.

- Dobry pomysł!

- Mam bilety do Las Vegas i rezerwację na trzy noce w luksusowym hotelu. To świetna okazja. Tłumy ludzi spragnionych rozrywki i wypoczynku, a więc otwartych na nowe znajomości. W sam raz, by zapolować.

Venus nie podzielała tej opinii. Las Vegas nie było najlepszym miejscem, by znaleźć tę jedyną wymarzoną. Przyjeżdżały tam głównie rozrywkowe panienki, które odpadały w przedbiegach, oraz przegrane kobiety szukające swej ostatniej szansy, a więc również się nie

kwalifikowały. Pechowe rozwódki, podstarzałe nauczycielki, urzędniczki, które wreszcie zdołały oderwać się od komputera, czyli tłum desperatek gotowych zrobić wszystko, by zdobyć choćby namiastkę faceta.

- Czy ja wiem? Wybrać się tam na chwilę, dla rozrywki, to owszem. Ale żeby szukać żony? Nie, to chyba nie najszcześniejszy pomysł.

Riley zaśmiał się cicho.

- W takim razie uznajmy to za krótkie wakacje. Niech będzie, co ma być. Wszystko już i tak jest opłacone, więc nie ma sprawy. Jeśli kogoś znajdę, to dobrze. Jeśli nie... - Wzruszył ramionami.

Takie podejście jej odpowiadało, więc od razu poczuła się lepiej. Kto wie, może to nie jest zły pomysł? Tłumy ludzi w urlopowym nastroju, spragnionych towarzystwa i przygody, roześmiane kobiety w seksownych strojach, mężczyźni w smokingach. Wiele samotnych osób, rozglądających się za idealnym partnerem. Jeśli podejść do tego na luzie i z dystansem, eliminować poszukiwaczki przygód i zdesperowane łowczynie ślubnego „tak”, może być całkiem niezłe. Więcej, taka okazja może się nie powtórzyć. A skoro chciała go z kimś wyswatać...

- Bilety już są - przypomniał. - Czuj się zaproszona.

- Prawdę mówiąc, przydałyby mi się wakacje - rzekła w zamysleniu. - Nawet gdy to oznacza dużo pracy.

- Słucham? Zreflektowała się szybko.

- Chciałam powiedzieć... że zwykle mam problem z dostaniem

urlopu, zwłaszcza o tej porze roku. Ale szef już zapowiedział, że da mi tydzień wolnego przed walentynkami, bo przeze mnie dzieją się na poczcie dantejskie sceny.

- Czyli możesz pojechać.
- Teoretycznie tak.
- Teoretycznie? A od czego to jeszcze zależy?
- Czy tego zechcę.
- Venus, to już przesądzone.
- Czy ja dobrze słyszę?! - krzyknęła z feministyczną nutą, czyli buntowniczo.

Jednak Riley nie skurczył się ze strachu, tylko powiedział ze śmiechem:

- Przecież chcesz tego. Widzę to w twoim spojrzeniu.

Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Czy aby się nie przesłyszała? Przecież dotąd to było jej domeną, to ona czytała w myślach innych.

Nagle wszystko dzieje się na opak. Jak nigdy do tej pory.

Jeśli się zgodzi na ten wyjazd... Ryzyko istnieje. Jednak są duże szanse, że sprawa zakończy się pomyślnie. Pomoże mu znaleźć właściwą kobietę, doprowadzi do ślubu. To emocjonujące wyzwanie zawodowe. Może się wiele nauczyć.

- Masz rację - powiedziała wolno. - Chcę spróbować.

- To mi się podoba! - rzekł z uznaniem. - Zuch dziewczyna! -

Lekko uściskał jej dłoń. - Wyjeżdżamy za dwa tygodnie. I coś ci obiecuję. Wrócę do domu z żoną.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Młodsza Venus wsunęła głowę w uchylone drzwi kuchni i ujrzała starszą Venus, która wyjmowała blachę z piekarnika.

- Cześć, mammo.

- Cześć, córeczko!

- Dopiero co wróciłaś i już pieczesz ciasteczka?

- To dla wnuczków.

- Jasne.

- Lizandra ma w pracy urwanie głowy. Walentynki tuż-tuż, więc sama rozumiesz. Chodź, pomożesz mi je polukrować.

Venus siadła przy miseczce z lukrem i sięgnęła po ciasteczko w kształcie serca.

- Jak udał się wyjazd?

- Cudownie. Spotkałam mnóstwo znajomych, których nie widziałam od lat.

- A tata? Jak jemu się podobało?

Mama uśmiechnęła się tajemniczo. Puściła oko do córki.

- Nie uwierzysz! Tyle się nasłuchał o miłości i romantycznych uniesieniach, że nagle jakby odmłodził o ćwierć wieku! Tak bardzo go to zainspirowało, że...

- Mammo! - powstrzymała ją Venus.

- Co takiego? Czyżby to cię peszyło? Ciebie, obdarzoną takim wyjątkowym darem? Wciąż mnie zdumiewa, że obie moje dziewczynki

zostały tak wyróżnione przez los.

- Hm. Właśnie w tej sprawie przychodzę. Muszę z tobą pogadać. Potrzebuję rady - rzekła Venus, zabierając się do lukrowania.

Mama pośpiesznie wstawiła pustą blachę do zlewozmywaka i usiadła na wprost córki.

- Mów. O co chodzi?

- Trafił mi się pewien klient...

- Co w tym dziwnego? - Mama wzruszyła ramionami.

- Wiem, ale nie jestem tym zachwycona. Wpakowałam się.

Pewien mężczyzna umówił się na poczcie z dziewczyną, którą znał tylko korespondencyjnie. Dogadali się, że się pobiorą. A ja wszystko popsułam. Nim przyszedł na spotkanie, poznałam ją z kimś innym.

- Czyli ich plany wzięły w łeb.

- I to ja tak namieszałam. Mam go na sumieniu, więc muszę mu kogoś znaleźć.

- Rozumiem.

- Tylko że to nie jest moja specjalność, bo zawsze działam instynktownie. Przychodzi moment i czuję, że ci ludzie są dla siebie stworzeni, ale nie umiem dobrać kogoś na zimno. Próbuję, ale nic z tego nie wychodzi. Każda wydaje mi się niewłaściwa, zawsze coś nie pasuje.

- Rzeczywiście masz problem. Może Lizandra by pomogła? Wyspecjalizowała się w dobieraniu par, zawsze wszystko przekalkuluje, podliczy plusy i minusy.

Venus podniosła następne ciasteczko, nałożyła sporą porcję lukru

i ugryzła kawałek.

- Jeszcze nie powiedziałam wszystkiego. Problem w tym, że on chce, bym poleciała z nim do Las Vegas. Liczy, że tam znajdę mu żonę. A ja się zgodziłam.

- Ach tak. Ale to oznacza osobiste zaangażowanie.

- Sama nie wiem, dlaczego na to przystałam.

- Mam dziwne przeczucie, że chodzi o coś więcej.

To stwierdzenie natychmiast przypomniało jej słowa Riley'a.

Podobno on czyta w jej oczach. Wzdrygnęła się.

- Tak, jest w tym coś niesamowitego... On czyta w moich myślach, i to bezbłędnie. A przecież to moja rola. Dlatego nie mogę się połapać i już nie jestem pewna, kto tak naprawdę kontroluje sytuację.

- Dla ciebie to coś nowego.

- Ciągle się tym zadreczam. Teoretycznie mogłabym go z kimś poznać, i niechby zabrał ją sobie do Las Vegas.

- Więc zrób tak w praktyce.

- Ale czuję, że to nie jest to.

- Rozumiem cię, skarbie.

- Jeszcze coś, mamo. Chcę z nim tam jechać.

- Więc jedź. - Starsza Venus popatrzyła przenikliwie na młodszą.

- Coś ci powiem, córeczko. Twój tata też czasami czyta w moich myślach, ale to mi w ogóle nie przeszkadza ani nie psuje humoru.

Nawet myślę, że to w jakimś sensie jest... sprawiedliwe.

- Sprawiedliwe? W jakim sensie? Przecież w tej dziedzinie ja powinnam kierować biegiem wydarzeń, pociągać za sznurki!

- Venus, kochanie, nie denerwuj się. Jeżeli to dobry człowiek, przestań się tym przejmować. Jakoś sobie poradzisz, znajdziesz sposób. Być może tym razem ułoży się inaczej, niż to sobie zakładasz. Po prostu.

Klamka zapadła! Pojedzie z Rileyem do Las Vegas.

Już sama myśl o tym napawała ją niepokojem.

Mama była przekonana, że to właściwy ruch. Namawiała, by się niczym nie przejmowała i dobrze się bawiła. Tata wsunął jej dwudziestodolarowy banknot z prośbą, by postawiła na czternastkę.

Sama nie wiedziała, dlaczego się zgodziła. Postara się znaleźć Rileyowi żonę. Choć po co sobie zawraca tym głowę? W końcu mógłby sam się wokół tego zakręcić, wybrać sobie jakąś pannę i ponieść odpowiedzialność za ewentualne niepowodzenia! Po co ona ma się narażać?

Co wieczór rozmawiała z nim przez telefon. Rozmowy przedłużały się, przechodzili do innych tematów. Im więcej o nim wiedziała, tym bardziej była oczarowana. Niesamowity facet, interesujący, pełen energii, z ogromnymi możliwościami. Powoli budziły się w niej uczucia, jakich nigdy wcześniej nie doświadczała.

I ktoś taki nie potrafi znaleźć sobie żony? Dlaczego szuka pomocy? Przecież nie powinno być żadnych problemów. Riley ma tyle zalet. Z miejsca budzi sympatię, jest solidny, wesoły, otwarty na innych, miły w obejściu, inteligentny, energiczny. No i niesamowicie przystojny... Nic, tylko zaciągać takiego przed ołtarz.

Popatrzyła na niego. Stał kilka kroków przed nią przy okienku

odprawy. Obrzuciła go taksującym spojrzeniem. Szerokie bary, zgrabna figura. Ubrany w skórzaną kurtkę, dżinsy i kowbojskie; nieco znoszone buty. Tylko czarny stetsona lśnił nowością.

- Załatwione - oznajmił Riley, odchodząc od okienka. - Czy ty coś jesz?

- Cukierki. Nie boję się latać, ale odrobinę się denerwuję.

W kieszeni obracała palcami całą garść słodkości.

- I dlatego opychasz się cukierkami?

- Masz ochotę? - Wyciągnęła do niego rękę. Na otwartej dłoni leżały trzy cukierki w kształcie serduszek. Jeden z nich, zapakowany w różowe sreberko, miał na wierzchu napis „Tylko ty”.

Zmieszała się.

Riley przyjrzał się cukierkom.

- Ciekawe - mruknął i wybrał ten różowy. - Czy to ma coś wspólnego z magią? Coś jak wróżenie z fusów, stawianie kart czy czytanie z ręki?

- Myślę, że to raczej szczęśliwy traf - odparła ostrożnie.

- Albo przypadek. - Za nic mu nie zdradzi, jak ją to poruszyło.

Nie ma żadnych przypadków. To wszystko są istotne wskazówki, ważne znaki, i nikt jej nie przekona, że się myli. Nie na darmo była najlepsza z tej dziedziny w Akademii Czerwonej Róży pod wezwaniem Świętego Walentego.

- Czyli nie ma w tym żadnego ukrytego znaczenia? - Włożył cukierek do ust.

Nogi się pod nią ugięły.

- Co najwyżej wprawi cię w bardziej romansowy nastrój. Ale nic ponadto.

Riley uśmiechnął się uroczo, a ją na mgnienie ogarnęła dziwna, ulotna tęsknota.

Imponujące, celujące w niebo budynki Las Vegas zrobiły na Venus oszałamiające wrażenie. Przyzwyczajona do niskiej zabudowy małego miasteczka, teraz przecierała oczy ze zdumienia. Nie mogła oderwać wzroku od wysokiej na trzy piętra marmurowej rotundy wewnątrz hotelu „Oasis”.

- To najnowszy hotel - poinformował ją Riley. Recepcjonistka już do nich podchodziła. - Chciałbym wziąć drugi pokój dla panny Jones - zwrócił się do niej, podając kartę kredytową. - Jeśli można, to obok albo przynajmniej na tym samym piętrze...

- Przykro mi, proszę pana, ale mamy komplet gości. Wszystkie pokoje są zarezerwowane.

Wyciągnięta ręka Rileya znieruchomiała.

- Przecież macie tu mnóstwo pokoi, tysiące.

- Trzy tysiące czterysta czternaście - z dumą oznajmiła recepcjonistka. - I wszystkie co do jednego są zajęte. Właśnie odbywa się zjazd dentystów. - Sięgnęła po spis telefonów. - Podobno w hotelu „Taj” mają jakieś luzy. Jeśli państwo sobie życzą, mogę tam zadzwonić. To siedem przecznic stąd.

Riley popatrzył na Venus pytająco.

- Siedem ulic stąd? - powtórzyła z niedowierzaniem. - To by nam

bardzo skomplikowało życie.

Recepcjonistka popatrzyła na monitor.

- Mam podane, że zarezerwowali państwo apartament dla nowożeńców...

- Nasze plany trochę się zmieniły - pośpiesznie powiedziała Venus. - Te związane z nocą poślubną.

- Ach tak, rozumiem. - Zrozumiała to po swoim, bo ze współczuciem zerknęła na Rileyę.

Ten zaś zakaszlał głośno.

- Więc tak... - podjęła recepcjonistka. - To jest duży apartament. Można bez problemu wstawić dostawkę, miejsca jest aż nadto. Pod warunkiem, że uda mi się znaleźć wolne łóżko.

Venus robiła wszystko, by zachować godność.

- Kochanie, przykro mi, że tak wyszło. - Riley wczuł się w rolę narzeczonego, który cierpliwie znosi kaprysy ukochanej.

- Przez myśl mi nie przeszło, że w tak ogromnym hotelu może zabraknąć pokoi...

- Nie ma sprawy - rzekła dziarsko Venus. - Jakoś sobie poradzimy. W końcu to nie katastrofa, przeżyjemy.

- Decyzja należy do ciebie. - Otoczył ją ramieniem i przygarnął do siebie.

- Dobrze, niech tak będzie. Nikomu nic się nie stanie, jeśli będziemy mieć wspólny pokój.

Nikomu nic się nie stanie? Czyżby? Recepcjonistka podała Rileyowi dwie karty magnetyczne otwierające drzwi do apartamentu.

Zawahała się.

- Przepraszam za tę sytuację. Zwykle zakładamy, że kiedy goście zamawiają apartament dla nowożeńców, zależy im na czasie i chcą wspólny pokój od razu. By wynagrodzić państwu to nieporozumienie i ewentualne niedogodności, proponuję gratisowy masaż o północy. Specjalna atrakcja dla młodej pary. Możecie go państwo zamówić na dowolny termin.

- Och! - zaproponowała Venus. - Dziękujemy, ale...

- Z przyjemnością - przerwał jej Riley. - Dziękujemy pani.

- Co ty wyrabiasz? - warknęła Venus, gdy szli do windy.

- Dlaczego mam z góry rezygnować? Kto wie, może skorzystam z propozycji, kiedy już znajdę sobie narzeczoną.

Niby nie powiedział nic takiego, lecz w jego tonie było coś, co sprawiło, że poczuła się odstawiona na boczny tor. Jakby coś jej uciekało.

Działo się z nią coś dziwnego. Zamiast cieszyć się, że być może wkrótce zobaczy szczęśliwą parę, czuła się jak intruz. Nie chciała wiedzieć, kto będzie jego wybranką, nie chciała patrzeć na ich szczęście. Myśl, że prawdopodobnie ich drogi niedługo się rozejdą, była nie do zniesienia. Próbowwała wziąć się w garść i przemówić sobie do rozumu. Cóż, pewnie na początku będzie go jej brakowało, ale ma własne życie i własne sprawy. Dalej będzie kojarzyć pary, bywać na ślubach. O tym powinna pamiętać, z tego czerpać satysfakcję... Ale wcale jej to nie pocieszyło.

Zatrzymali się przed windami.

- Na którym piętrze mamy pokój? - zapytała, chcąc zająć myśli bardziej przyjemnymi sprawami.

- Zaraz... - Riley popatrzył na kartę hotelową. - Na czternastym.

- Niemożliwe! Powiedz, że to nieprawda! - krzyknęła. Podsunął bliżej kartę, by mogła się sama przekonać.

- Przecież to moja liczba! - wykrzyknęła zdumiona.

- Wiem, już wspominałaś. I tak się składa, że dość często mamy z nią do czynienia.

Była tak poruszona, że nie mogła zapanować nad sobą.

- No powiedz sam. To olbrzymi hotel, mają mnóstwo pokoi, więc szansa, że zamieszkaż właśnie na tym piętrze, jest niewielka. Musi być wyjątkowy zbieg...

Z cichym jękiem rozsunęły się drzwi windy. Jakby zapraszały do piekielnej otchłani, przemknęło jej przez myśl. Albo do rajy małżeńskiej alkowy.

Riley nacisnął na czternaste piętro i zapytał:

- Denerwujesz się?

Poruszyła dłonią w kieszeni, przebierając palcami słodkie serduszka.

- Ja? - rzekła zuchowato i chrząknęła. - Oczywiście, że nie.

Popatrzył na nią uważnie.

- Nie zdarzy się nic wbrew twojej woli.

Już miała na końcu języka, że do niczego takiego nie dojdzie, jednak nie mogła się na to zdobyć z powodu wyobraźni, która podsuwała jej różne słodkie obrazy sam na sam z Rileyem. Wspólny

pokój, masaże o północy, szampan... Winda stanęła, wyszli na korytarz.

- Coś ci powiem. Nie byłoby mnie tutaj, gdybym ci nie ufała.

- Venus, nie chodzi o zaufanie. - Gdy gwałtownie się zatrzymała, szybko dodał: - Ale o coś więcej. Przyjechałaś, bo chcesz wyświadczyć mi przysługę. To silniejsze od ciebie, po prostu taką masz naturę. Chcesz czynić dobro, pomagać innym. I to mi się bardzo w tobie podoba.

- Naprawdę?

- Uhm. Ludzie nie przejmują się takimi sprawami, inni niewiele ich obchodzą. Ja też nie zaprzęłam sobie głowy cudzymi problemami.

To stwierdzenie dało jej do myślenia. Może pomyliła się w jego ocenie? Może...

- Ale... sam prosiłeś, żebym znalazła ci narzeczoną.

- Było trochę inaczej. - Zatrzymał się przed drzwiami. - To ten. - Wsunął kartę do zamka i pchnął drzwi.

Wstrzymała dech. W życiu nie widziała czegoś równie nieprawdopodobnego. Stała nieruchomo i szeroko otwartymi oczami przesuwała po wnętrzu. Na stoliku z czarnego onyksu stał kryształowy wazon z bukietem czerwonych róż, przed kominkiem była czarna skórzana kanapa, obok wiaderko z lodem i butelką szampana. I oszałamiający panoramiczny widok na rozciągające się w dole Las Vegas.

Kilka metrów dalej, na szerokim podwyższeniu stało ogromne małżeńskie łóżko w kształcie serca. Pościel z czarnego atlasu, wezgłowie ozdobione suto marszczonym tiulem przytrzymywanym czerwonymi i

czarnymi wstążeczkami, miękkie poduszki z satyny i koronki. W nogach artystycznie ułożono dwie jednakowe piżamy z czarnej satyny z wyhaftowanymi napisami: „Dla Niej” i „Dla Niego”.

Patrzyła na nie, a serce biło jej coraz szybciej. Jak by to było, gdyby ubrali się w te identyczne piżamy... Masaż w środku nocy, a potem szorstkie dłonie Riley'a błędzące po jej ciele osłoniętym jedynie tą cieniutką tkaniną... Zadrżała.

Podążył za nią wzrokiem.

- Chodźmy zobaczyć łazienkę - zaproponował, by odwrócić jej uwagę, i otworzył drzwi na oścież.

Venus ponownie oniemiała. Łazienka była z czarnego marmuru, pełna luster i złotych dodatków. Ogromna wanna w kształcie serca zachęcała do miłosnych igraszek, do tego ogromna szklana kabina prysznicowa. Nie zabrakło w niej nawet ławeczki! Po drugiej stronie blat z dwiema umywalkami, na nim czarne ręczniki i koszyczek z aromatycznymi olejkami i kremami.

- To czysta dekadencja - podsumowała, gdy wreszcie mogła wydobyć z siebie głos.

- Jaki jest twój ulubiony zapach? - zapytał Riley, sięgając po koszyk z kosmetykami.

- Słucham?

- Malinowy, cytrynowy, miodowy, ziarna zbóż. Och, zobacz to! Wiśnie i czekolada.

Venus skrzywiła się lekko.

- To niemal jak bufet śniadaniowy.

- Jeszcze nie koniec. „Nagrzane słońcem truskawki od ...” - zdusił śmiech - „od Kupidyna”.

- Wymyśliłeś to sobie!

- Przysięgam, że nie! - Wyciągnął do niej rękę z kosmetykiem i uśmiechnął się.

- Ale przegięcie. Uczucia i romantyczne uniesienia sprowadzone do czystej komercji. Szczęście młodej pary utożsamione z olejkami do masażu, jedwabną pościelą, wanną z hydromasażem i...

- Szampanem przy kominku - dodał usłużnie. - Na kanapie dla dwojga.

Te słowa wypowiedziane miękkim, zmysłowym tonem, wytrąciły ją z równowagi. Wyobraźnia już podsuwała oszałamiające obrazy...

- Nie podoba mi się, że w cały ten tandemy biznes wplątali Kupidyna.

- Hm... według mnie to ekscytujące.

- Tak uważasz?

- Uhm. Rozgrzane w słońcu truskaweczki połączone w parę...

Mniam, mniam. - Zabrzmiało to wielce dwuznacznie. - Podał jej paczuszkę. - To dla ciebie. Jest jak ty. Zachowaj na pamiątkę naszej pierwszej wspólnej nocy.

Paczuszka była ciepła od jego palców. Spontanicznie zacisnęła na niej dłoń.

- Dobrze, że wiem, jak jest naprawdę, bo jeszcze bym pomyślała, że się do mnie zalecasz. A to będzie...

- Nie mów - przerwał jej ze śmiechem. - Domyślam się, co

chcesz powiedzieć.

- No co?
- Że to będzie tylko noc, nic więcej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Na kolację zeszli do hotelowej restauracji. Zarezerwowano im stolik w kameralnym kąciku. Nieco dalej, po drugiej stronie sali, ktoś grał na skrzypcach. Delikatne dźwięki muzyki niosły się w powietrzu, tworząc sentymentalny nastrój. Venus przesunęła koniuszkami palców po białym lnianym obrusie, popatrzyła na płomień świecy.

- Wiesz, nie spodziewałam się, że tak będzie. - Spojrzała na Rileya.

- A myślałaś, że jak? - Uniósł kieliszek.
- Zgiełk, gwar, mnóstwo ludzi.
- Nic straconego. - Upił łyk wina. - Jeśli tego chcesz...
- Nie, nie. Chodziło mi o to, że tu jest tak spokojnie. Wręcz

intymnie.

- Tak miało być. Taki według mnie powinien być miesiąc miodowy.

- A zamiast tego spędzasz go ze mną.
- Bywają gorsze rzeczy.

Cóż, chyba miał to być komplement.

- Dobry wieczór państwu! - Przy stoliku pojawił się kierownik sali. - Witam w imieniu dyrekcji i personelu hotelu. Mam nadzieję, że jesteście państwo zadowoleni z pobytu. Bardzo nam zależy, by nasi drodzy młodożęncy czuli się u nas jak najlepiej.

- Och, my nie jesteśmy... - zaczęła Venus.

- Dziękujemy, wszystko jest jak trzeba - przerwał jej Riley.

Kierownik nawet okiem nie mrugnął, tylko powiedział z uśmiechem:

- Miło mi to słyszeć. Mam dla państwa drobne upominki od firmy. To w dowód podziwu - podał Venus wysmukłą pąsową różę. - Z najlepszymi życzeniami.

- Dziękuję - wybąkała. Kolejna róża. Otrząsnęła się. Przecież to nic wyjątkowego, taka tradycja. W dodatku zbliżają się walentynki.

- A to dla pana - kierownik wręczył Rileyowi srebrną ramkę. - Na pamiątkę.

Pochyliła się, by przeczytać wygrawerowane na dole słowa. „Na zawsze”.

Sądząc po reakcji Rileya, nie bardzo wiedział, jak powinien się teraz zachować.

- Możecie państwo spojrzeć? Uśmiech, proszę! Oboje podnieśli wzrok, błysnął flesz.

- Wspaniale! - rozpromienił się kierownik. - Portrecik dostarczymy do pokoju. Jeszcze raz pozwólcie mi państwo złożyć gratulacje. Tworzycie piękną parę.

I zniknął wraz z fotografem. Rileyowi zaskoczenie odebrało wręcz mowę.

Venus też czuła się zmieszana, lecz i rozbawiona. Podsunęła różę pod nos, by zamaskować chichot.

- Powinieneś powiedzieć mu prawdę.
- Zamierzałem podziękować i wszystko. Po co się tłumaczyć obcym ludziom?

- Rozumiem. Tylko ciekawe, co zrobisz z tą ramką.
- Wstawię w nią nasze zdjęcie.

Tego się nie spodziewała.

- Wiesz, Riley... myślę, że...
- Co takiego?
- To nie jest najlepszy pomysł.
- Dlaczego?

Nie chciała wdawać się w szczegóły. Nie teraz. Lepiej spróbować to jakoś obejść.

- Przecież... masz zamiar się ożenić... - Dziwnie trudno jej szło. - Czasami, na przykład jak byliśmy na tej przejażdżce albo teraz, kiedy siedzimy w restauracji niczym ślubna para... mam wyrzuty sumienia. Jakbym odbierała Moirze to, co należało się jej. To miał być jej wieczór, jej miesiąc miodowy.

- Daj spokój z Moirą. Jej to i tak by się nie podobało. Nie tak jak tobie.

- Ale... ta róża miała być dla niej. Tak samo kolacja przy świecach. Mam spać w jej łóżku... w twoim łóżku - poprawiła się pośpiesznie. - Nie dosłownie, rzecz jasna, bo będzie dostawka, jednak...

- Dosłownie. - Nawet nie mrugnął. - Będziemy mieć wspólne

łóżko. Gdy brałaś prysznic, zadzwonili z recepcji. Nie udało się znaleźć nic wolnego.

Nie mogła się pozbierać. I nawet nie było o czym dyskutować, ot, sytuacja bez wyjścia. Ani przez chwilę nie przeczuwała, że mogą być komplikacje. Zawiodła ją jej moc, ów szósty zmysł. Może go utraciła?

Spojrzała na srebrną ramkę, którą Riley postawił na kominku. Miała wrażenie, że napis na dole mrugnął znacząco.

„Na zawsze”.

Powinna była to wiedzieć. Bez dwóch zdań, powinna była. Dobrze, że przynajmniej czujność jej nie opuściła. Cóż, Riley stoi tuż obok. Czują na karku ciepłe tchnienie jego oddechu.

- Venus - zagadnął łagodnie, kładąc dłoń na jej ramieniu. -

Prześpię się na kanapie, łóżko zostawię dla ciebie.

- Nie bądź niemądry - usłyszała swój własny głos. - Ufam ci i wierzę, że nie ruszysz się ze swojej połowy. A ja ze swojej, oczywiście. Tym sposobem oboje będziemy spać wygodnie. Chcesz jutro wyglądać jak zdjęty z krzyża? Jak taki ktoś ma zrobić wrażenie na kobietach? Przecież szukasz żony.

Riley zaśmiał się głęboko. Taki męski śmiech potrafi zdziałać cuda. Żadna mu się nie oprze.

Nabrała powietrza. Miała nadzieję, że Riley odrzuci jej szlachetną propozycję, lecz tak się nie stało.

- To łóżko ma coś w sobie. Zbliża do siebie ludzi. Opuściła powieki. Dobrze, że stał za nią i nie widział jej twarzy.

- Riley, na mnie to nie działa. Więc nawet nie próbuj - rzekła ostrzegawczo.

Znowu zaśmiał się cicho.

- Hm... A dlaczego nie?

- Bo dla mnie to nie są sprawy bez znaczenia.

- Rozumiem.

Rozluźnił uścisk. Chyba poczuł się zawiedziony.

- Nie chcę, żebyś powziął mylne mniemanie na mój temat.

- Wykluczone.

- Nie spodziewaj się, że coś mogłoby się wydarzyć - powiedziała pośpiesznie. - Przyjechałam pomóc ci szukać żony, więc wszystko fatalnie by się skomplikowało, gdyby nasza znajomość zmieniła swój charakter.

- Spałaś kiedyś z mężczyzną?

- Riley - syknęła. - Przed chwilą powiedziałam...

- Pytałem tylko, czy spałaś - powtórzył. - Bez żadnych podtekstów. To jest bardzo przyjemne, gdy obok ciebie ktoś śpi, słyszysz jej oddech. Rzęsy rzucają cię na policzki. Ramięczko zsuwa się z ramienia. - Serce jej zabiło. Riley to romantyk, choć sam o tym nie wie. - Domyślałem się, że kobieta bardzo podobnie czuje, gdy mężczyzna śpi u jej boku.

- Zostawmy to. Nie o mnie mieliśmy rozmawiać, tylko o tobie - przypomniała. - Myślałam, że chcesz się żenić, by zaznać takich przyjemności.

Zaśmiał się cicho.

- To, że chcę się ożenić, nie znaczy, że nie mam żadnych doświadczeń. Wiem, jak to jest budzić się przy kobiecie.

- No dobrze, niech ci będzie, ale daruj sobie te opisy. Naprawdę nie muszę tego wiedzieć. Będziesz mieć na to czas, gdy ja już wywiążę się ze swego zadania. - By podkreślić swoje słowa, położyła ramkę frontem do dołu.

Znów się roześmiał. Ten śmiech wibrował jej w uszach.

- Nie chcesz o tym rozmawiać... Pewnie dlatego, że wolałabyś mieć dla siebie całe łóżko.

Uśmiechnęła się wbrew własnej woli. Gdy były małe, siostra zawsze jej wypominała, że zabiera całą kołdrę.

To niesamowite, jak potrafi ją rozbawić! Jest, jaki jest, ale ma wiele plusów.

- To co, może zejść po coś na dół?

- Teraz? - Popatrzyła na zegarek. - Jest północ.

- Hm, to była wymówka. Na pewno poczujesz się swobodniej, jeśli będziesz mogła w samotności przygotować się do spania. To co, piętnaście minut wystarczy?

- Wystarczy, dzięki. Ale chyba nie chcesz, żebym wkładała tę piżamę? - Wskazała czarne stroje na łóżku.

- Zrobisz, jak zechcesz. - Zachichotał.

Gdy wyszedł, zaraz tego pożałowała. Miło było czuć tuż obok siebie jego ciepło, wiedzieć, że jest blisko. Obecność Riley'a dodawała otuchy, uspokajała.

Ruszyła do łazienki. Wiedziała, że czas leci, jednak nie mogła

zmusić się do pośpiechu. Po kąpieli nasmarowała się mleczkiem i przeciągnęła rzęsy mascarą. Popatrzyła na swoje odbicie i delikatnie poklepała policzki, by dodać im koloru.

- No cóż - mruknęła. - Rano muszę dobrze wyglądać. Żeby go nie rozczarować.

Gdy wyszła z łazienki, Riley stał przy kominku. W ręce trzymał złożoną kartkę. Ich spojrzenia się spotkały.

- Przepraszam, przyszedłem za szybko. - Przeniósł wzrok z jej twarzy i spojrzał na cieniuteńkie ramiączka nocnej koszulki. Zupełnie zwyczajna, w różowo-pąsowe serduszka. Wąskie kostki, drobne stopy, paznokcie pomalowane na różowo. Natychmiast wyobraził sobie, jak te stopy wyglądają spod kołdry, dotykają go przez sen. Odepchnął od siebie natrętne wizje. - Myślałem, że już będziesz leżeć w łóżku z kołdrą podciągniętą pod brodę.

- Uhm. Jak Czerwony Kapturek czekający na złego wilka. Podeszła do łóżka. Riley obserwował, jak odkłada na bok ozdobne poduszki i ściąga narzutę.

- Och, czekoladki! Chcesz?

Sposobność, na jaką podświadomie czekał, właśnie się nadarzyła. Podeszedł do Venus, po drodze z roztargnieniem kładąc trzymany w ręku papier.

- Nocne łakocie?

Pochyliła się, by sięgnąć po słodycze. Nic nie uszło jego uwagi: płynne ruchy, sposób, w jaki pochylała się, krągłość ramienia, poruszenie włosów. Światło lampy miękko oświetlało jej buzię...

Gdy się wyprostowała, stał obok niej.

Jedno ramiączko zsunęło się z ramienia. Nie spostrzegła tego. Pierś falowała. Riley rzucił ukradkowe spojrzenie. I nagle zobaczył coś, co go zastanowiło - zagadkową ciemnoróżową plamkę w kształcie serca.

Venus wyciągnęła rękę z czekoladką, lecz nie wziął jej, tylko bezwiednie przesunął palcem po ciemniejszej skórze.

- To znamię?

Cofnęła się raptownie, z jej piersi wyrwał się cichy okrzyk. Zadrzała. Patrzył na nią badawczo.

- Venus?

- Nie rób tego więcej - wydusiła. Pośpiesznie podciągnęła ramiączko. - To moje czułe miejsce. - Widząc jego minę, dodała: - Wiele osób ma takie wrażliwe miejsca. Ja mam akurat tutaj. Na ramieniu.

- Bujasz.

- Nie.

- To tylko znamię. Nie ma się czego wstydzić.

- Wcale się nie wstydzę. Szczęję się nim! To mój znak. Zaśmiał się, widząc jej zapalczywość.

- Już dobrze, nie chciałem cię łaskotać.

- Wcale mnie nie połaskotałeś!

- Nie?

- W ogóle mnie nie rozumiesz. Nie chodzi o łaskotki. To moje czułe miejsce, którego nie wystawiam na widok publiczny. Nigdy!

Świetnie wygląda, gdy jest taka podekscytowana. Oczy pełne iskier.

- Masz to na ramieniu, więc raczej rzuca się w oczy.

- Ale nie życzę sobie, żeby ktoś dotykał mnie w...

- No gdzie? - podpuszczał.

- Właśnie tutaj! - odparła z przejęciem.

- Dlaczego?

- No bo tak. - Po chwili dodała, już nieco łagodniej: - To nasze rodzinne dziedzictwo. Przechodzi z pokolenia na pokolenie.

Rozumiesz?

- Tak jak twój kolor włosów i buzia w kształcie serca?

- No właśnie.

- A także upodobanie do kwiatów i serduszek. - Ujął w palce cieniutkie ramiączko i bawił się nim w zamyśleniu.

Venus wzdrygnęła się, ale nie cofnęła.

- Zauważyłeś?

- Oraz chęć kojarzenia ludzi w pary - powiedział miękko.

- Cóż, rozszyfrowałeś mnie i nasze geny.

- Aha... Czy to znaczy, że swatanie ludzi jest ulubionym zajęciem całej rodziny?

- Tata się do tego nie miesza.

Powiedziała to tak naturalnie, że niemal uwierzył w te banialuki.

Roześmiał się.

- No dobrze, wystarczy. Powiedz wprost. Czy naprawdę jesteś boginią miłości... a może raczej małym Kupidynkiem?

- Jak by to powiedzieć... - zaczęła powoli. - Tak.

- Mówisz prawdę?
- Oczywiście! - zapewniła z przekonaniem. Uśmiechnął się szeroko. Była niezwykłą dziewczyną.
- Powinienem był się tego domyślić.
- Przecież się domyśliłeś. I tak bym ci powiedziała, ale wybawiłeś mnie z kłopotu.

Zaśmiał się z uznaniem. Ramiączko uciekło mu z palców. Nie mógł się powstrzymać, by nie przesunąć palcem po jej policzku.

- Jesteś niesamowita, wiesz? - Patrzył na jej usta. Ciągle prześladowało go wspomnienie tamtego pocałunku. Jest taka słodka, taka krucha... Nic, tylko całować! - Zapomniałaś o czekoladkach - szybko zmienił temat.

- Och, chyba... - Podniosła je ostrożnie, jakby bała się, by nie cofnął ręki. - Chyba się rozpuściły.

- Takie są najlepsze.

Z ociąganiem cofnął dłoń. Patrzył, jak Venus odwija czekoladkę i smakuje ją w ustach. Dopiero wtedy wziął swoją.

- Jeszcze coś - rzucił lekko. - Już idziesz spać...

- To co?

- A buziak na dobranoc?

Kompletnie ją zaskoczył, ale nie zamierzał już dyskutować, tylko przystąpił do dzieła. Otoczył ją ramieniem, przygarnął do siebie. Przez jedną szaloną chwilę zastanawiał się, czy to zagadkowe znamię nie wiedzie prosto do serca Venus.

Dałby głowę, że różowe serduszko błysnęło spod ramiączka,

wypalając na nim swój znak. Poczuł w sobie ogień.

Panował nad zmysłami resztką sił. Paliło go pragnienie, chciał więcej niż tylko pocałunku, dużo więcej... ale zaręczył, że może mu ufać. Dotrzyma słowa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Pocałunek ją oszołomił. Tylko ją. Bo Riley odsunął się od razu, jakby nic się nie stało. Przeraziła się, bo zaczął szybko rozpinąć guziki koszuli. Ściągnął ją i rzucił na stojące obok krzesło.

- Co ty robisz? - wybąkała drżącym głosem.

- Ja? - Palce sięgające do guzika spodni zatrzymały się w pół ruchu. - Szykuję się do spania.

Wiedziała, że lepiej nie drażnić tematu. Po co ma widzieć jej minę? Odwróciła się i wślizgnęła pod kołdrę. Riley okrążył łóżko i stanął po swojej stronie.

- Zwykle śpię tylko w bieliźnie. To ci nie przeszkadza?

- Ależ skąd, nie. - Chciała powiedzieć to spokojnie, lecz jej głos zabrzmiał dziwnie słabo.

Riley rozpiął metalowy guzik, odwrócił się tyłem. Przeniosła wzrok, ale przed oczami ciągle miała jego muskularne ciało, mięśnie widoczne pod skórą, płaski brzuch.

Zrzucił dzinsy i usiadł na łóżku. Słyszała, jak ściąga buty i

skarpetki, rzuca je na podłogę. Wyobraziła sobie skotłowane ciuchy leżące obok łóżka.

Bałaganiarz. Na tym się teraz skup, przykazała sobie w myślach. Nie na zapachu jego wody czy szeleście gniecionych prześcieradeł. Ani na jego równym oddechu. Zgasił pilotem światło i w pokoju zaległa ciemność. Venus wstrzymała oddech. Riley zaczął układać się do snu.

Dyskretnie uchyliła powieki. Leżał na plecach, z rękami pod głową. Podciągnął kołdrę do piersi. Patrzył w sufit.

- Myślisz, że zaraz zaśniesz? - zapytał.
- Hm, chyba nie.
- Ja też raczej nie. Wiesz, nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jestem.
- Ty nie możesz? Zaśmiał się cicho.
- Ten wyjazd nieźle cię zaskoczył, co?
- Żebyś wiedział. Siedziałabym teraz na poczcie i ręcznie stemplowała walentynkowe kartki.
- Lubisz swoją pracę, prawda?
- Raczej tak.
- Powiedziałaś to jakoś bez przekonania.
- To nie jest zła posada. Ma wiele plusów. Lubię kontakt z ludźmi, odpowiadają mi godziny pracy, pensja. Ale też ciągnie mnie do innych rzeczy. Chyba jestem domatorką. Chciałabym mieć więcej czasu na pieczenie ciasteczek, sadzenie kwiatków w ogródku, tego typu sprawy.

Po ciemku nie widziała jego twarzy, jednak była pewna, że się

uśmiechnął. Jak to możliwe?

- Wiesz, czego mi brakuje w tym pokoju? - zapytał.

- Czego?

- Gwiazd na suficie.

Odwróciła się. Nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.

- Miasto tonie w światłach - mówił dalej - ale to wszystko sztuczne. Jest tak jasno, że nie widzisz prawdziwego nieba, nawet Droga Mleczna znika.

- A gdyby umieścić tu plastikowe gwiazdy, toby pomogło?

- Pewnie tak.

Znowu zapadła cisza. Poczowała, że Riley zmienił pozycję.

- Mam wolne ramię. Może ci będzie wygodniej, jeśli się oprzesz?

- zaproponował.

Nie odpowiedziała od razu.

- Mam nadzieję, że to niczym nie grozi?

- Co ty! Razem popatrzymy w noc. - Kiedy podsunęła się bliżej i położyła głowę na jego ramieniu, zapytał:

- I co, lepiej?

- Uhm.

- Na pewno? - Delikatnie się poruszył. - Nie chciałbym urazić twojego czułego miejsca. Ani w ogóle.

Uśmiechnęła się. Niepotrzebnie mu o tym powiedziała. Teraz miała za swoje.

- Nie urazisz mnie.

- Na pewno?

- Na pewno.

Cisza, jaka zaległa, wibrowała napięciem. Słyszała bicie jego serca, pod głową czuła twarde mięśnie ramienia.

- Opowiedz mi o swoim ranczu.

Nie dał się prosić. Zaczął od lat pięćdziesiątych, kiedy ojciec mozolnie wznosił dom z czerwonej cegły. Rozległy, z wieloma sypialniami i łazienkami, z imponującym patio, na którym w lecie nie dawało się wysiedzieć z gorąca, a zimą mroźnym jak chłodnia. Opowiedział też o hodowli bydła i koni.

Mówił tak zajmująco, że słuchała z zapartym tchem.

Nawet ciężka codzienna praca wydawała się porywająca. Riley nie szczędził szczegółów. Dowiedziała się o jego pracownikach - Brendonie, który wcześniej hodował owce w Australii, i Lesterze, sędziwym kowboju z Montany. Powiedział jej też o swojej matce. Wyszła ponownie za mąż. Jej drugi mąż jest profesorem, pochodzi z szacownej, zamożnej rodziny. Od sześciu lat mieszkają na Filipinach. Ich kontakty są symboliczne. Dwa razy w roku matka przysyła mu kartki - na urodziny i na Boże Narodzenie.

Usłyszała o przygotowaniach, jakie poczynił na przyjazd Moiry. Odświeżył kuchnię i wymalował ją na jasnobrzoskwiniowy kolor, choć ostatecznie wyszedł jaskraworóżowy.

Venus wybuchnęła śmiechem.

- Już to sobie wyobrażam! Wielki Riley smażyący jajka w różowej kuchni!

- Nawet nie jest tak źle - mruknął. - Można się przyzwyczać,

naprawdę.

- Zaciekawileś mnie. Chciałabym kiedyś to wszystko zobaczyć na własne oczy.

- Myślę, że tak się stanie. Że przyjdzie taki dzień.

Jeszcze nie całkiem przebudzona, przysunęła się, by znaleźć się bliżej przyjemnego ciepła.

Przeciagnęła się i otworzyła oczy, a potem cofnęła, by popatrzeć na śpiącego Rileya. Ciemny ślad zarostu. Rysy twarzy rozluźnione, równy, miarowy oddech.

Ostrożnie odsunęła kołdrę i zaczęła się podnosić. Nagle poczuła na nadgarstku mocny uchwyt.

- Gdzie idziesz? - zapytał.

- Muszę się ubrać. Przed nami długi dzień.

- Uhm. Szukanie żony.

Poczuła, jakby przytłoczyło ją coś ciężkiego.

- Owszem.

- Może dzisiaj tylko się rozejrzemy? Żeby się zorientować.

Wstąpiła w nią nadzieja. Może wycofa się z tego bezsensownego pomysłu? Może pojął, że nie tędy droga?

- Jak mam to rozumieć?

- Sam jeszcze nie wiem. Wyjdziemy na miasto, pójdziemy tu i tam, potem zastanowimy się, co dalej.

- Dobrze, czemu nie.

Puścił jej rękę, podniosła się. Wyjęła z szafy wygodny strój i

poszła się przebrać. Skrzywiła się na widok serduszka na rękawie.

Riley z pewnością do tego nawiąże, więc podwinęła rękawy. Nie musi widzieć tej ozdóbki. Kiedy wyszła z łazienki, Riley już czekał. Miał dziwnie rozbawioną minę.

- Zobacz - rzekł, podając jej kopertę. - To nasze zdjęcie i liścik od kierownictwa.

- Pokaż - wyciągnęła rękę. Robiła dobrą minę, lecz w głębi duszy coś podejrzewała.

- Proponują nam gratisową kolację i powtórne zdjęcie. Podobno robili, co mogli, ale nie udało się zlikwidować tej czerwonawej poświaty.

- To pewnie ja coś popsułam - powiedziała lekko, by niczego się nie domyślił.

- Naprawdę dziwne - zamyślił się Riley. - Jakby obłok czerwonego dymu unoszący się nad twoją głową.

- Ja nie palę. Prawdopodobnie zaszło jakieś rzadkie zjawisko optyczne, niezwykle załamanie światła. - Wiedziała, że mówi za dużo. Powinna to krótko skwitować. - Może para unosząca się nad stołem ze szwedzkim bufetem albo dochodząca z kuchni...

Popatrzył na nią sceptycznie.

- Siedzieliśmy w kącie, po drugiej stronie sali, w części dla niepalących.

- No, to może jakaś wada filmu albo odczynników.

Zamyślił się. Wyraźnie coś go intrygowało.

- Nie ma się czym przejmować - zaczęła z innej beczki. - Pewnie

wkrótce znajdziesz sobie kandydatkę na żonę i do niczego nie będę ci potrzebna. A już na pewno do zdjęcia.

Odłożył zdjęcie, w zamyśleniu zmrużył oczy.

- Hm... to co, jesteśmy gotowi do wyjścia? Jeśli tak, to w drogę. Potem do tego wrócimy. - Jeszcze raz zerknął na zdjęcie. - Całkiem nieźle wyszło, nie sądzisz?

Nawet ta czerwonawa mgielka wcale nie przeszkadza.

Venus bagatelizująco wzruszyła ramionami.

- Jedyna w swoim rodzaju.

- Już wiem, co to było! - roześmiał się Riley. - Pewnie się w tobie zagotowało, gdy kierownik wziął nas za małżeństwo.

- Och, no tak! Jasne!

Wybuchnęli śmiechem. Kamień spadł jej z serca, bo Riley już nie wracał do tematu. Sięgnął po kurtkę.

- Idziemy?

- Na podbój Las Vegas.

Uśmiechnął się szeroko, otworzył drzwi, robiąc jej przejście.

Niby nic nadzwyczajnego, a zrobiło jej się przyjemnie. W ogóle musiała mu oddać, że potrafi się zachować. Jest opiekuńczy i troskliwy. Istotne zalety, szczególnie jeśli się szuka życiowego partnera.

Bo w końcu czyż nie to jest najważniejsze? Wiele razy się nad tym zastanawiała i zawsze dochodziła do tego samego wniosku. Liczy się to, by ta druga osoba była dla nas ważniejsza od nas samych.

Przemierzali niespiesznie miasto, wpadając do kolejnych hoteli,

próbując szczęścia w kasynach, zaglądając do sklepów. Świetnie się bawili. Tak dobrze, że kompletnie zapomnieli, co ich tu przywiodło.

Było już późne popołudnie, gdy Riley wyciągnął z kieszeni ostatnią ćwierćdolarówkę i podał ją Venus.

- Nie mieliśmy dziś fartu - rzekł z żalem. - To ostatnia.

Siwowłosy pan siedzący na stołku przy sąsiedniej maszynie zaśmiał się, słysząc te słowa.

- Jeszcze nie rozbiliście banku? Nic się nie trafiło?

- Nic, czym można się pochwalić rodzinie - powiedziała ze śmiechem Venus.

- No, to macie - sięgnął do swojego kubka pełnego monet. - To wszystko wygrałem - dodał, wyjmując garść ćwierćdolarówek i wkładając je w rękę Venus.

- Ależ nie, dziękujemy! - zaproponowała.

- Bierzcie śmiało. To tylko pieniądze. Sposób na zabicie czasu.

- Dziękujemy, ale...

- Nie przyjechaliśmy tu, żeby grać - wyjaśnił Riley. - To miał być miesiąc miodowy.

- W takim razie najlepsze życzenia!

Venus stała niezdecydowana. Niezręcznie byłoby teraz bawić się w dokładne wyjaśnienia. Miała powiedzieć, że szukała żony dla Rileya?

- Zazdroszczę wam. Zaczynacie wspólne życie. - Mężczyzna zamyślił się. - Moja żona zmarła dwa lata temu. Bez niej już nic nie jest takie samo. Życie straciło blask, więc zacząłem podróżować, by jakoś

wypełnić czas. Nazywam się Vince McCoy. Miło mi było was poznać.

Venus podeszła bliżej, by wrzucić otrzymane przed chwilą monety do jego kubka.

- Nie, proszę, potraktujcie to jako prezent. Może fortuna się do was uśmiechnie i znajdziecie skarb.

Nie bardzo chciała wziąć te pieniądze jako prezent ślubny, jednak jego słowa... Miała dziwne przeczucie, że coś się za nimi kryje.

Tajemnicze przesłanie.

- No, to zwrócę równowartość. - Riley sięgnął po portfel.

- Dajcie spokój, dzieci. Korzystajcie z życia, bawcie się. To wasze najpiękniejsze chwile.

Ujął ją ten siwowłosy pan. Doskwiera mu samotność, intuicja jej nie myli. Przesunęła wzrokiem po jego zielonym polo ze znaczkiem stanu Kolorado, złotym zegarku i sygnecie.

Riley prowadził z nim ożywioną rozmowę, a ona gorączkowo myślała, jak zrobić dla niego coś dobrego, jak sprawić, by poczuł się szczęśliwy? Zasługiwał na to.

- Tak, Kolorado to wspaniała kraina - z przekonaniem mówił Vince. - Wygrałem los na loterii, gdy zaproponowano mi tam posiadłość.

Zadźwięczało jej w uszach. Popatrzyła na dziesiątki automatów do gry. Naraz jej uwagę przykuła broszka w kształcie napisu „Kolorado”. Była przypięta do białej jedwabnej sukni. Starsza pani o starannie uczesanych srebrzystych włosach przeszła obok maszyny za nimi.

Venus poczuła, że chwila nadchodzi.

Kobieta odwróciła się, podeszła do ich rzędu.

- No nie... - uśmiechnęła się czarująco. - Ależ tu tłum! Nigdzie nie mogę znaleźć wolnego miejsca.

- Z chęcią odstąpimy nasze - szybko zaproponowała Venus, gestem pokazując Rileyowi, by zszedł ze stołka.

- Na pewno? - Popatrzyła na nich, potem na Vince'a. - Nie chciałabym nadużywać uprzejmości.

- Nie ma sprawy - potwierdził Riley. - Proszę.

- Pani jest z Kolorado, prawda? - zagaïła Venus.

- Wychowałam się tam, potem przeniosłam się do Arizony. Po śmierci męża postanowiłam wrócić, ale ciągle czekam na dobry powód.

Vince poklepał dłonią napis na piersi bluzy.

- Ja zostałem przeflancowany do Kolorado, ale nigdy stamtąd nie wyjadę! - oznajmił z emfazą.

Rozmowa potoczyła się wartko. Miłośnikom Kolorado nie brakowało wspólnych tematów. Po chwili Riley dał Venus znak, by się zbierali.

Położyła mu rękę na piersi, zatrzymując go w pół kroku.

- Poczekaj sekundę - wyszeptała. Odwróciła się do kobiety.

- Przepraszam, nie dosłyszałam nazwiska...

- Jestem June Whitley.

- June, chciałabym oficjalnie przedstawić ci Vince'a McCoya.

Vince... - jej głos brzmiał miękko, hipnotyzująco - to jest June.

Podali sobie dłonie i tej samej chwili jakby przeleciała iskra. W ich oczach zapłonął nowy blask. To miłość. Venus patrzyła oniemiała.

Jak zawsze, choć już tyle razy była tego świadkiem. Poznaje dwoje ludzi, spojrzenie, uścisk ręki... i oboje są straceni dla świata.

- No, to do zobaczenia - powiedziała pogodnym głosem, choć dobrze wiedziała, że już zapomnieli o ich istnieniu. - Wszystkiego najlepszego. - Ujęła Riley'a pod ramię i wyszli.

Szedł oszołomiony, co chwila odwracając się i zerkając na pogrążoną w rozmowie parę.

- Czy ty to widziałas? - wymamrotał ze zdumieniem. - To miłość od pierwszego wejrzenia.

- Przecież nie wierzysz w takie rzeczy.

- Bo nie wierzę.

- W porządku. Powiedzmy, że spotkało się dwoje fanów stanu Kolorado.

- Nie... - Widać było, że nie może zaakceptować tego, czego przed chwilą był świadkiem. - Rozmawialiśmy o futbolu, a potem nagle popatrzyli sobie w oczy i... i nagle zapomnieli o wszystkim. Przestaliśmy dla nich istnieć!

- Przesadzasz.

- Venus, tak było! Nawet nie zauważyli naszego odejścia.

- Przyjemnie spotkać ludzi zapatrzonych w siebie, tak sobie oddanych, prawda? - rzekła z udaną nonszalancją.

Wyszli z kasyna na zatłoczony chodnik.

- To było tak, jakbyś to zaaranżowała - rzekł. - A tego słowa używam niezmiernie rzadko.

Venus roześmiała się.

- Niech zgadnę. Tak by powiedziała twoja mama.

- Owszem. - Westchnął. Szli przed siebie. - Popatrz - ożywił się nagle, kierując wzrok na idące przed nimi trzy dziewczyny. - Gdybym uznał, że ta w zielonej spódniczce jest dobrą kandydatką, to co byś powiedziała?

Venus obrzuciła wzrokiem dwie duże torby wypchane pluszowymi zwierzątkami i plastikowymi zabawkami.

- Powiedziałabym, że to samotna matka, która rozpuszcza swoje dzieci. Mogłyby być problemy.

- A ta w niebieskim?

Venus popatrzyła na nią uważnie. Na każdym palcu pierścionek, łańcuszki na szyi, mnóstwo bransoletek.

- Jest skoncentrowana na sobie. Wciąż byś się przy niej stresował.

- Ta w żółtej czapeczce?

Wystarczył jej rzut oka na buty do biegania, grubą bluzę z kapturem i szorty.

- Fanatyczka gimnastyki. Nic by z tego nie było.

Riley zamruczał pod nosem. Zatrzymał się przed kasynem.

- No, a ta krągła dziewczyna przy jednoręcznych bandytach?

- Absolutnie nie wchodzi w grę. Zamęczyłaby cię ciężką, kaloryczną kuchnią.

- A co by mi to przeszkadzało?

- Bo mimo żeś kowboj... no, ranczer, to lubisz białe mięso. Na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie i jeszcze coś.

Jakby nie mógł się pogodzić z tym, że Venus niby od niechcenia rzuca sobie luźne uwagi, i za każdym razem ma rację.

- A ta z psem? - nie zrażał się. - Tam, zobacz. Zadbany pekińczyk miał biżuteryjną obrózkę, dwie różowe kokardki i psie ubranko.

- Pomyłona hierarchia wartości. Zachwiane proporcje. Musiałbyś rywalizować z pieskiem.

- A tamta, ta co stoi w drzwiach?

Ciało dziewczyny oblepiał kusy strój z czarnej lycry, odsłaniając głęboki dekolt.

- Poszukiwaczką przygód - z miejsca skreśliła ją Venus. - Wybij ją sobie z głowy.

- No dobrze, dobrze - mruknął z narastającą desperacją. - Tamta. W falbankach i koronkach.

Venus zatrzymała wzrok. Ta nawet całkiem-całkiem. Robi wrażenie miłej i uczciwej. Tylko ta kloszowa spódnica, bluzka ze skromnym kołnierzykiem zapięta pod samą szyję. Jest w niej coś, co budzi wątpliwości.

- Nie - rzekła z przekonaniem. - Zbyt wymuskana.

- No wiesz! - obruszył się. - Jak to możliwe? Na własne oczy widziałem, co się stało w kasynie. Przedstawiłaś ich sobie i miłość spadła na nich jak grom. Na obce sobie osoby. Skoro dla nich mogłaś to zrobić, czemu nie możesz zrobić tego dla mnie?

- Na wszystko przyjdzie pora. W odpowiednim momencie.

- Ale czasu jest coraz mniej. Zostały tylko dwa dni. Czyli jeden dzień, żeby ją znaleźć, a drugi, żeby wziąć ślub.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Prześladowało ją wspomnienie jego słów. Miał rację. Tylko dlaczego tak się działo? Dlaczego nie była w stanie go wyswatać?

Przez cały następny dzień wypatrywała właściwej kandydatki, a gdy przychodziło co do czego, nie mogła się zdecydować. W każdej widziała słabe strony, coś, co ją wykluczało.

A może podświadomie nie chciała oddać go innej? Riley odpowiadał jej pod każdym względem. W jego towarzystwie czuła się tak dobrze jak jeszcze nigdy dotąd. Miał tyle zalet. Zdarzały się momenty, że nie była pewna, czy zdoła się z nim rozstać, czy to nie okaże się ponad jej siły.

Jednak obiecała, że go wyswata, więc musiała dotrzymać słowa. Chciała, by był szczęśliwy. By zaznał prawdziwej, głębokiej, wszechobejmującej aż do bólu miłości. By uwierzył, że coś takiego istnieje.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Riley się jej spodobał. Wcześniej nigdy się jej to nie zdarzyło. Robiła swoje, a potem umywała ręce, zadowolona, że kolejna para zaczyna wspólne życie.

Natomiast do Rileya nie potrafiła podejść jak do klienta. Budził w niej tyle uczuć, że nie mogła się skoncentrować, traciła obiektywizm. Co gorsza, to szaleństwo stale w niej narastało. Bywały chwile, że nie potrafiła obejść się bez Rileya, ciągle jej go mało. Nie umiała sobie wyobrazić, by miał zniknąć z jej życia, w dodatku z inną kobietą. Że

uśmiecha się do innej, otacza ją ramieniem, muska jej włosy. Nie mogła wprost znieść takich myśli.

Zastanawiała się, co by było, gdyby to ona znalazła się na miejscu tej upragnionej kandydatki. Teoretycznie to możliwe. Jednak taka decyzja niosłaby ogromne ryzyko.

Tak przed laty postąpiła ciocia Sirena, lecz ten związek nie opierał się na prawdziwej miłości. Ciocia zapłaciła za to wysoką cenę, straciła bowiem swoją moc. I choć jej małżeństwo jakoś się układało, do tej pory nie odżałowała utraconego daru.

Bała się, że historia może się powtórzyć, a wtedy bezpowrotnie straci część własnej osobowości.

Riley często podkreślał, że nie wierzy w miłość. Chce się ożenić, by dzielić z kimś życie, ale w jego planie nie ma miejsca na uczucie.

Koło się zamyka. Mogłaby swoją mocą sprawić, by kogoś pokochał, przynajmniej w jakimś stopniu, ale czy potrafi sprawić, żeby to ją pokochał? Czy taki układ miałby szansę?

Riley ma silną osobowość. Jeszcze nigdy nie spotkała człowieka tak pewnego własnych racji, działającego według swoich zasad. Pod względem siły woli dorównuje jej, więc trudno byłoby się z nim zmierzyć. Z kimś słabszym dałaby sobie radę, ale nie z nim.

Czy więc taki związek miałby szansę powodzenia?

Ma dobry charakter, jest otwarty, szlachetny. Ale czy jest zdolny do prawdziwej miłości? Wierzyła w swoją moc, jednak w stosunku do Rileya jej dar może okazać się niewystarczający.

Ryzyko jest zbyt duże. Powinna znaleźć mu żonę, a potem

wycofać się i niech sobie sam dalej radzi. Dziś wieczorem przystąpi do działania. Nie miała innego wyjścia.

- Nie przeszkadza ci, że znowu jemy kolację w hotelu? - zapytał, podając jej koszyczek z jeszcze ciepłym domowym pieczywem.

- Przecież tu jest aż pięć restauracji - odparła Venus. Wzięła kromkę chleba i położyła ją na talerzyku obok sałaty. - Wcale nie masz wrażenia, że jesteś w tym samym miejscu.

Uśmiechnął się, nabrał masła i posmarował sobie chleb.

- Trochę brakuje tu tego skrzypka. Przyjemniej było go słuchać przy kolacji niż tego, co teraz leci z głośników.

Venus przyjęła to z uśmiechem. Przeniosła wzrok na salę. Miała zadanie do wykonania. Zatrzymała spojrzenie na kobiecie siedzącej dwa stoliki dalej. Nikt jej nie towarzyszył. Nieznajoma obserwowała panów obecnych w restauracji. Pewnie przyjechała na zjazd dentystów, stwierdziła w duchu Venus. Nieźle by wyszło, gdyby wyswatała go z dentystką! Rancier i wyrwiząb, niebywałe zestawienie.

Ta myśl rozbawiła ją. Odetchnęła lżej.

- Dzięki, że nie upierałeś się przy powtórnym zdjęciu - zagadnęła.
- Nie było sensu, zwłaszcza gdy planujesz romantyczne przejażdżki o zachodzie słońca. Twoja wybranka mogłaby być zazdrosna.

- Fakt, może to nie był najlepszy pomysł.

- Właśnie.

Jeszcze raz popatrzyła na nieznajomą. Zadbana, ubrana ze smakiem. Miła w obejściu, uprzejma w stosunku do kelnera, który

niechęący uрониł trochę wina na jej spódnice.

- Venus?
- Tak?
- O czym tak się zadumałaś?
- Zastanawiałam się, jak to będzie, gdy się ożenisz.
- Ach tak.
- Pewnie już więcej nigdy się nie zobaczymy.
- Każde z nas pójdzie własną drogą.
- Chyba tak. Ja dalej będę pracować na poczcie, a ty zaczniesz myśleć o takich rzeczach jak rocznice ślubu, zakup nowej pralki i czy twoja żona nie jest uczulona na psa.

Burke zaśmiał się.

- Skąd wiesz, że mam psa?
- Na każdym ranczu zamiast dzwonka jest pies. Gdy jesteś w stajni czy oborze, zawiadamia, że coś się dzieje.
- Przynajmniej do czegoś się przydaje. Laddie by ci przypadł do gustu.
- Dlaczego tak sądzisz?
- Wiele was łączy, bo ma biały krawacik w kształcie serca.
- Super! - Zrobiło się jej żal, gdy uświadomiła sobie, że nigdy nie zobaczy tego pieska. Laddie nie polize jej po rękach, nie zamerda ogonem, uderzając ją po nogach. - To chyba spory zwierzak, co?
- Jasne. W połowie owczarek, reszta wieloraka. Jesteśmy jak dwaj rozbitkowie zdani tylko na siebie.

Czuje się samotny i jest spragniony miłości, choć sam o tym nie

wie. Musi mu pomóc, wziąć się do pracy, nim jeszcze bardziej zacznie jej na nim zależeć.

Włożyła dłoń do kieszeni, dotknęła palcami srebrnego dolara. Dziś się nim posłuży. Ubrana na niebiesko nieznajoma pochwyciła jej spojrzenie i uśmiechnęła się.

No już, do dzieła! - zmotywowała się w duchu Venus. Zrób to wreszcie!

Kelner, który podszedł do stolika, zdekoncentrował ją.

Dobrze, poczeka, aż zjedzą główne danie. Porządny posiłek uspokoi napięte nerwy.

Popatrzyła na półmisek z owocami morza i nagle spłynęła na nią nieoczekiwana myśl. To jak łapanie ryby w balii. Wybiera jakąś samotną biedaczkę i podsuwa ją Rileyowi jak na talerzu. Nie pytając, czy ona mu się podoba, czy nie.

Zabrała się za jedzenie. Riley zabawiał ją rozmową. Wpadała w jego sieć. Wbrew sobie, wbrew temu, czego chciała.

Nabrała powietrza. Jeszcze raz przesunęła palcem po gładkiej powierzchni monety i bezgłośnie powtórzyła mantrę. Wierzyła, że dzięki niej spłynie na nią siła. Że zdoła przeżyć to, co niedługo się stanie.

Niby niechcący rzuciła monetę w stronę nieznajomej. Dolarówka potoczyła się obok krzesła, uderzyła o jej but.

Brunetka odsunęła się i popatrzyła na podłogę.

- Och, przepraszam, strasznie jestem dziś roztrzępana - zagadnęła Venus, gdy nieznajoma podała jej monetę. - Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co. Wczoraj w kasynie upuściłam kubek z bilonem i wszyscy pomagali mi zbierać pieniądze. Zdumiewające miejsce. Do zwykłego plastikowego kubka człowiek wkłada cały tygodniowy zarobek!

- To prawda. Ale sądząc po pani słowach, czas upływa tu bardzo przyjemnie? - Venus schowała monetę.

- Wspaniale. Przyjechałam na zlot dentystów. Bingo! Przeczucie jej nie zawiodło.

- Tyłu dentystów, a zamiast borowania słysząc muzykę - zaśmiała się Venus. - A z jakich stron pani przyjechała?

- Z Kansas City.

- Naprawdę? W takim razie jesteśmy z jednego stanu. - Venus popatrzyła na Riley, próbując wciągnąć go w rozmowę.

On zaś oparł się wygodnie i z cierpliwym uśmiechem czekał na dalszy rozwój wydarzeń.

Przez kilka minut Venus gawędziła z nowo poznaną.

- Czyli jest tu pani... - urwała. Nie mogła się zdobyć, by dokończyć to pytanie. Zmobilizowała się. - Jest pani sama?

- Z koleżankami z pracy. Jesteśmy wolne i często podróżujemy razem.

- Aha - podsumowała krótko. Odpowiedź nie była po jej myśli. Riley, jak na złość, nawet się nie zająknął.

- One poszły na jakiś spektakl, ale ja nie miałam ochoty. Lubię zgiełk i gwar, czasami jednak potrzebuję chwili oddechu. W rodzinie śmieją się, że powinnam żyć na szerokich równinach.

Nie mogło być gorzej. Ta kobieta jest wprost wymarzona dla Riley'a. Powinna mu ją przedstawić i doprowadzić do szczęśliwego finału.

- Przepraszam, chyba nie dosłyszałam pani imienia - odezwała się, z trudem łapiąc dech.

- Vivian. Vivian Bliss.

- Ja nazywam się Venus Jones i...

- Venus? To prawdziwe imię? - Vivian była przyjemnie zaskoczona.

- Prawdziwe. - Serce waliło jej jak młot. - Vivian, to jest... - Wyduś to wreszcie! - To jest... - Nie, za nic się do tego nie zmusi. Ból ścisnął ją w piersi. Bała się, że zaraz umrze. - To mój znajomy - dokończyła słabym głosem. - Z Kansas. Riley nie odezwał się, tylko skinął głową. Zachowała się jak skończona idiotka, wiedziała o tym. Pochwyciła rozbawione spojrzenie Riley'a. Nadal milczał.

- Cieszę się, że was poznałam - rzekła Vivian. - Patrzyłam na was i myślałam sobie, jaka piękna z was para.

- Dziękuję. Przepraszam, że nie przedstawiłam... - Vivian i Riley patrzyli na nią wyczekująco. - Po prostu... - To ostatnia szansa. Teraz albo nigdy.

Teraz, nakazywał rozsądek.

Nigdy! - coś w niej darło się wniebogłosy.

Nie zrobi tego. Nie może.

Ogarnęło ją poczucie porażki i ulgi.

- Nie czuję się dobrze. Przepraszam, muszę wyjść. Podniosła się i

odeszła od stolika. Nie widziała, że Riley też wstaje i zwraca się do Vivian:

- Przepraszam, ale muszę panią opuścić.

Oparła się o chłodną ścianę przy windzie, zamknęła oczy. Czowała się wyczerpana, niezdolna do najmniejszego ruchu. Przed chwilą świadomie zrezygnowała z postawienia kropki nad i. Ta para to byłby największy sukces w jej karierze swatki. Mama i siostra nigdy by się nie wycofały z tak wymarzonej sytuacji. A ona nie stanęła na wysokości zadania. Tak niewiele brakowało, ledwie tych kilku słów.

Cóż, teraz ruch należy do Riley'a. Niech sam się jej przedstawi. I tak przygotowała mu dobre wejście. Musi tylko z niego skorzystać.

Powiedz jej, że twoja znajoma ma czasem takie odjazdy i nie warto się tym przejmować.

Marzyła teraz o jednym - wskoczyć do tego wielkiego łóżka i nakryć głowę kołdrą. Może Parki ulitują się nad nią i dadzą jeszcze jedną szansę?

Jeśli tak się stanie, nie zmarnuje jej.

- Pani na górę? Na czternaste? - tuż obok rozległ się znajomy głos.

Odwróciła się. Riley patrzył na nią lekko zwężonymi oczami.

- To ty? Myślałam, że.... no wiesz, że przejdiesz do rzeczy.

Przedstawisz się i...

Riley potrząsnął głową.

- Nie.

- Nie? Dlaczego? Ona jest dla ciebie wymarzona! Idź i ożeń się z nią! Riley, nie pozwól jej zniknąć - dodała ostrzegawczo. - Straciłam cały dzień, żeby ją znaleźć.

- Nie jest w moim typie.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie jest w twoim typie? Czyś ty zwariował? Nagle spochmurniał.

- Być może. Venus, zatrzymujemy windę, wsiadaj. Powiedziałem w recepcji, że chętnie skorzystamy dzisiaj z nocnego masażu. Myślę, że dobrze ci zrobi.

W drodze do pokoju milczeli. Kiedy Riley wsunął kartę w zamek, Venus ujęła go za ramię.

- Myślałam, że chciałeś wieczorem gdzieś wyjść.

- Mieliśmy udany dzień. Jestem całkiem zadowolony.

- Mam wrażenie, że to ja cię wstrzymuję. Jeśli chcesz wyjść, nie oglądaj się na mnie. Wystarczy słowo, a nie będzie mnie, gdy wrócisz. Coś sobie znajdę.

- Chcę, byś tu była, Venus.

Poczuła, jakby ostrze przeszło jej pierś. Może strzała Amora? Uznała to za żart.

Pokój został wysprzątny, na marmurowym stoliku pysznił się kosz owoców. Truskawki oblane czekoladą, plastry pomarańczy obsypane cukrem... I karteczka z życzeniami dla młodej pary od kierownictwa hotelu.

Venus wbiła w nią wzrok.

- Riley, musimy coś ustalić. Wszyscy myślą, że jesteśmy tuż po ślubie albo że zaraz to zrobimy. Już miałam przedstawić cię tej kobiecie, i nie mogłam się do tego zmusić.

- Wiem.

- Wiesz? Zaśmiał się.

- Owszem. Bawiło mnie, gdy w każdej dopatrywałaś się jakichś wad. Czekałem, co będzie z tą.

- Nie rozumiesz? Nie mogłam się w niej niczego doszukać. Ona jest doskonała!

- Też mi się tak wydawało.

- W takim razie dlaczego...?

- Dlaczego nic nie zrobiłem? Bo patrzyłem na nią, potem na ciebie... i zrozumiałem, że wolę być z tobą.

Zamurowało ją. Myśli krążyły jak oszalałe.

- Zrozumiałeś to?

- Uhm.

- Myślałam, że chcesz się ożenić. - Była kompletnie zbita z tropu.

- Może, gdybym wiedziała, dlaczego naprawdę tak ci zależy na ślubie...

- To proste - rzekł. - Mam udane życie i chcę je z kimś dzielić, jak już to powiedziałem na początku. Ale są jeszcze inne powody. Chciałbym mieć dziecko, kogoś, komu przekażę mój dorobek, kto będzie mnie wspominał. Dobrze wspominał. Chcę pozostawić mój ślad na ziemi, mieć dowód, że nie żyłem bez sensu. Nie chcę być taki jak ojciec, nie chcę zostawić po sobie złej pamięci.

Jak na ranczera z wielkich równin to bardzo kwieciste oświadczenie. Była bardzo poruszona. Impulsywnie podeszła bliżej, objęła go mocno. Riley przygarnął ją do siebie. Musnął ustami jej skroń.

- To piękne i godne podziwu powody - szepnęła Venus. Otoczył ją ramionami, przytulił do siebie.

- Cieszę się, że tak myślisz - powiedział miękko.

- Ale skoro tak, to nie byłeś wystarczająco wnikliwy.

- Co masz na myśli?

- Bo skoro planowałeś większą rodzinę... Moira nie mogła mieć dzieci. Powiedziała mi to.

- Tego nie brałem pod uwagę. - Był kompletnie zaskoczony.

- Jak większość mężczyzn. Zapadła cisza. Przerwał ją Riley.

- Nie miałbym do niej pretensji. Chcę, żebyś to wiedziała.

- Tak, rozumiem... - Czy to znaczy, że jeszcze jej nie odżałował?

- Może dobrze się stało, jak się stało. Słyszałem, że wyszła za tego Jake'a. Jego córki podobno ją uwielbiają.

- To urodzona mamuska. - Gdy Riley znowu przytulił ją mocniej, zrobiło się jej lżej na duchu. - Mężczyźni pragną spadkobierców, a kobietom zależy na dzieciach. Zawsze chciałam być mamą. Przepadam za dziećmi. Są takie niewinne, takie bezradne i ufne... - urwała, zdając sobie sprawę, że się zagalopowała. Nie po raz pierwszy. To jego wina, bo tak niesamowicie na nią działał.

- Nie zastanawiałaś się nad tym, że być może tak właśnie miało być?

Zaskoczył ją. Nawet mu się nie śni, jak często przeżywała takie rozterki.

- Owszem, przychodziło mi to do głowy - powiedziała ostrożnie.

- Venus, wyjdź za mnie. Zostań moją żoną.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Tysiące myśli kłębiło się jej w głowie.

- To by wszystko zmieniło - powiedziała.

Popatrzył na nią. Ostrzeżenie zawarte w jej słowach nie dotarło do niego.

- Kaplica jest zarezerwowana na jedenastą rano. Zróbmy to.

Oficjalnie, zgodnie z tym, czego oboje chcemy.

Nigdy nie przemawiał do niej pomysł szybkiego ślubu. Długie narzeczeństwo, dopiero potem ceremonia w sukni z białej koronki i tiulu, piękne kwiaty. Takie miała marzenia. Nie zależało jej na tłumach. To uroczystość dla dwojga, przypieczętowanie związku. Odstęczało ją coś innego - tandetny komercjalizm tutejszych zaślubin. Suknia z wypożyczalni, plastikowy bukiet z ukrytą w środku etykietką oznajmiającą, że wyprodukowano go w Japonii.

- Jutro walentynki - przypomniał Riley. - I twoje urodziny. Może zamiast kwiatów i tortu ze świeczkami dam ci świadectwo ślubu? No i wesele.

Wiedziała, że się z nią przekomarza, czekając na odpowiedź. Myśli kotłowały się w niej jak szalone. Co powinna zrobić, na co się zdecydować? Czy nic nie znaczy ta nieprawdopodobna zbieżność dat, fiasko jego korespondencyjnej znajomości, to, że zauważył jej znanie,

że wierzy w istnienie jej nadnaturalnych zdolności, jej uczucia wreszcie...

Może to Opatrzność? Ingerencja Losu, zmieniająca bieg życia? Jeszcze nikt, choćby nie wiedzieć jak się buntował, nie przeciwstawił się przeznaczeniu.

Postąpiłaby jak idiotka, gdyby chciała się temu sprzeciwić.

Nie wycofuj się, podszeptował wewnętrzny głos. Idź na całość, zapomnij o ryzyku.

- Wiesz co, Riley? - powiedziała dzielnie. - Właśnie znalazłeś sobie żonę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Patrzył na Venus ze zdumieniem. Nie spodziewał się, że przyjmie jego propozycję. Jest piękną i dobrą dziewczyną, może mieć każdego, kogo tylko zapragnie, a jednak zgodziła się wyjść za niego. Mimo że nie ukrywał, jaki jest jego stosunek do miłości. Powiedział wprost, co myśli o tych bałamutnych bzdurach. Znała jego poglądy, wiedziała, że nie zmieni zdania. Mimo to zgodziła się.

Powinien wziąć ją teraz w ramiona, pocałować, przytulić. Zacząć robić plany. Na jutro i na przyszłość.

Nie mógł zdobyć się na żaden ruch. To, co jeszcze niedawno było takie proste i naturalne, teraz wydawało się niewykonalne. Wczoraj

leżeli w jednym łóżku, Venus opierała głowę na jego ramieniu, rozmawiali i wspominali - taką więź i zrozumienie chciałby utrzymać. Na zawsze.

Musi być z nią szczery. Nie chce, by niepotrzebnie się łudziła, a potem czuła się zawiedziona i rozgoryczona. Musi to zrobić subtelnie.

- Wiem, że możemy być ze sobą szczęśliwi - zaczął, ostrożnie dobierając słowa. Popatrzył na jej usta, wyciągnął ramię, a ona przywarła do niego bez namysłu. Przytulił ją mocniej. - Zrobię wszystko, byś nigdy niczego nie żałowała.

- Nie mówmy teraz o tym - powiedziała cicho. - Nie teraz. Wiesz, chwilami myślę, że właśnie tak miało się stać.

Zaśmiał się. Dla niej to takie oczywiste. Bez zastrzeżeń przystała na wspólne życie, układ oparty na partnerstwie.

- To co, chyba przypieczętujemy to pocałunkiem?

- Uhm... - zamruczała, delikatnie podstawiając buzię. Popatrzył na nią przenikliwie. Jeszcze nie ochłonął. Jeszcze nie wierzył, że w tak krótkim czasie udało mu się tyle zyskać. Przy Venus wszystko stawało się jasne i proste - a w żyłach burzyła się krew.

To dziewczyna dla niego. Bez żadnych wątpliwości.

Dotknął dłonią jej policzka. Celowo przedłużał ten moment.

Wreszcie pochylił głowę i odszukał jej usta.

Przywarli do siebie mocno. Wiedzieli, że już niedługo staną się mężem i żoną, będą należeć do siebie.

Pozostali w uścisku, choć pocałunek się skończył.

- Riley, czy to prawda, że Las Vegas nigdy nie zasypia?

Roześmiał się pogodnie.

- Mam nadzieję, że tak nie jest. Bo zamierzam spać z moją żoną.

- Venus raptownie podniosła głowę, zapłonęła się. To go ujęło. - A dla czego pytasz?

- Bo chciałabym znaleźć ślubną suknię i zamówić kwiaty. Zostało strasznie mało czasu.

- Zrobisz to z samego rana. Na dole w hotelu jest sklep dla nowożeńców. Zdążysz albo...

- Chciałabym, żebyś poszedł ze mną. Pomógł mi wybrać.

- Podobno pan młody nie powinien wcześniej widzieć narzeczonej w ślubnej sukni. To zła wróżba.

- Daj spokój! Nie wierzę w przesady, że niby trzeba mieć coś pożyczonego i te rzeczy. To bez sensu. Małżeństwo polega na czymś innym. Jest takie, jakim je stworzymy.

Zmarszczył brwi. W jej głosie było tyle nadziei, tyle oczekiwań. Nie chciał jej rozczarować, ale chyba miała przesadne wyobrażenie o tym, co ich czeka. Lepiej wyjaśnić to od razu, bez niedomówień. Miłość i głębia uczuć to piękne rzeczy, lecz życie jest życiem. Prozaicznym, wypełnionym codziennymi obowiązkami. Niczego więcej nie powinna się spodziewać.

Tylko tak trudno powiedzieć to wprost. Nie miał serca jej rozczarować.

Ktoś zapukał do drzwi. Gwałtownie odsunęli się od siebie. Chwila minęła. Będzie musiał poczekać na właściwy moment.

- Słucham?

- Zamawiał pan masaż. - Para młodych ludzi weszła do pokoju. Każde z nich niosło składany stół. - Zaraz wszystko przygotujemy. To potrwa kilka minut. Za to będzie godzinny masaż.

- Proszę - młoda kobieta z uśmiechem podała im ogrzane prześcieradła. - Zdejmujemy wszystko od pasa w górę i ewentualnie resztę. - Wskazała na łazienkę. - Proszę się tym owinąć, poły założyć z przodu.

Riley popatrzył na Venus. Miała przerażoną minę. Może ten masaż to nie najlepszy pomysł, przemknęło mu przez myśl. Może nie teraz.

- Jestem Sandy, to jest Jim - ciągnęła kobieta. Najwyraźniej spostrzegła reakcję Venus. - Jesteśmy dyplomowanymi masażystami. Specjalizujemy się w masażu szwedzkim i technikach relaksacyjnych. Dzisiaj zajmiemy się plecami, ramionami i karkiem. To miejsca, które najsilniej reagują na stres. Zapewniam, że już po kilkudziesięciu minutach poczujecie się państwo o niebo lepiej.

Jim włączył odtwarzacz. Z głośników popłynęła cicha, klasyczna muzyka.

- Venus - zagadnął Riley. - Na pewno masz na to ochotę?

Venus oderwała oczy od ustawianych przez masażystę kremów i olejków.

- Tak - odparła, przyciskając do siebie prześcieradło. - Mam ochotę. Na wszystko, łącznie z masażem.

Po chwili leżeli na stołach okryci brzoskwińnymi przeście-

radłami. Przytłumione światło oblewało wnętrze ciepłym blaskiem. Gazowy kominek potęgował nastrój.

Sandy, upewniwszy się, że nie mają nic przeciwko aromaterapii, włożyła srebrzyste kryształki do pojemniczka z potpourri i zapaliła świeczkę. Ten zapach miał przynieść rozluźnienie i spokój.

Jim, pochylony nad Rileyem, wprawnie masował i ugniatał mięśnie. Skóra namaszczona wonnym olejkiem była ciepła i śliska, cicha muzyka działała uspokajająco, delikatny zapach łagodził myśli, odurzał.

Patrzył na leżącą obok Venus. Cienkie prześcieradło odsłaniało plecy i miękką kaskadą spływało na podłogę. Nie mógł oderwać oczu. Pięknie zarysowana linia ramion i barków, wąska talia, odrobinę widoczne krągłe piersi...

Widzi tak niewiele, a jeszcze nigdy w życiu żadna kobieta nie wydawała mu się tak uwodzicielska i prowokująca.

Teraz zrozumiał fascynację, z jaką artyści i rzeźbiarze próbują zgłębić tajemnice kobiecego ciała, uchwycić jego piękno, utrwalić je na płótnie czy w kamieniu. Kuszące, budzące pragnienia, kryjące w sobie tajemną obietnicę. W ciepłym świetle jej włosy rzucały świetlisty czerwony blask. Ich sploty przywodziły na myśl posąg greckiej bogini, jaki kiedyś oglądał w muzeum. Nie mógł uwierzyć, że już niedługo ta dziewczyna zostanie jego żoną, zamieszka pod jego dachem, da mu dzieci. Ta myśl napelniała go nabożnym, pełnym zachwytu zdumieniem. Proponując jej małżeństwo, podjął się czegoś, co przekraczało najśmielsze marzenia.

- Teraz przypudruję pana talkiem - powiedział Jim, sięgając do tacy z kosmetykami. - Talk wchłonie olejek.

Riley zamruczał aprobująco.

- To pana pierwszy masaż, prawda? - uśmiechnął się Jim. - Na początku człowiek zawsze jest trochę spięty.

Sandy również posypała Venus talkiem i rozprowadziła go szerokim, miękkim pędzlem.

- Och, jak dobrze! - westchnęła Venus.

Patrzył na jej piersi i czuł, że cały płonie. Tak chciałby wziąć ją teraz w ramiona...

- Skończyliśmy - oznajmiła Sandy, otulając prześcieradłem plecy Venus. - Zaczniemy się pakować. Teraz powoli proszę się podnosić. Ostrożnie, bo może kręcić się w głowie.

Riley i Venus usiedli, uśmiechnęli się do siebie. Byli oszłomieni, ich ciała ogarniała dziwna lekkość. Riley wstał pierwszy, omotał prześcieradłem biodra.

Muzyka ucichła. Ciszę przerywał tylko odgłos gazowego kominka. Masażyści wprawnie składali swoje przybory.

Riley wręczył im sowity napiwek i odprowadził do drzwi.

Odwrócił się do Venus. Stała na środku pokoju, migoczące płomyki ognia rzucały czerwony blask na jej włosy opadające na nagie ramiona. Prześcieradło, którym się owinęła, spływało do podłogi.

- To czysta dekadencja - powiedziała.

- Jesteś zadowolona, że tak to urządziłem?

Venus uśmiechnęła się zagadkowo. Jak Mona Lisa, przebiegło

mu przez myśl.

- Zaczynam myśleć, że masz bardzo dobre kwalifikacje na męża.
- Przebiorę się i możemy... - Popatrzyła na łożo w kształcie serca.
- Nie musisz się przebierać - rzekł miękko, zmienionym głosem.
 - Jeśli sama nie chcesz.
 - Ależ chcę! - obruszyła się. - Jeszcze przecież nie jesteśmy po ślubie.

Bezwładnie opuścił ręce. Choć aż się wyrywał, by wziąć ją w ramiona...

- Niedługo będziemy.
- Riley, wprawdzie nie wierzę w przesady i zabobony związane ze ślubem, jednak uważam, że wszystko ma swoją kolej.
- Rozumiem. - Nic nie rozumiał. Wychował się w środowisku, w którym wszystko było proste i jednoznaczne. Mężczyźni dostawali, co chcieli, a kobiety godziły się na taki układ. Trudno, dostosuje się. Postanowił zmienić dotychczasowe życie, więc musi być konsekwentny. Wyglądało na to, że kompromis i liczenie się z drugą osobą jest tego nieodłączną częścią. - Może zadzwonisz do rodziny, powiesz im, że wychodzisz za mąż?

- To nie jest konieczne. - Zatrzymała się z ręką na klamce. - Ufam mi. Wiedzą, że postępuję słusznie. Że idę za głosem serca.

Przebierała się szybko. Nie chciała tracić ani sekundy, pragnęła być przy Rileyu jak najdłużej. Choć po tym, co dzisiaj się wydarzyło, spanie we wspólnym łóżku napawało ją niepokojem.

Jedno słowo i jej dotychczasowe życie odchodzi w przeszłość.

Zgodziła się na ślub od razu, bez zastanowienia. Już nigdy nie będzie spać sama, w ogóle wszystko się zmieni. Tak jak ona się zmieniła. Teraz już zawsze będą we dwoje. Dwie poduszki, jedna wspólna kołdra.

Jeszcze o tym nie rozmawiali, jednak dla niej było oczywiste, że zamieszka na ranczu. Zacznie nowe życie. Bez żalu, bez zastanawiania się, co traci. Nie mogła uwierzyć, że tak szybko zrozumiała, co jest dla niej najważniejsze na świecie, czego najbardziej pragnie. Riley'a. Być z nim, dzielić z nim życie, wspólnie kształtować los.

Podsunał jej ramię, ułożyła się na nim wygodnie. Zapatrzeni w sufit, rozmawiali. Tak jak wczoraj. Ale dzisiaj wszystko było inne. Są razem, a jednak osobno. A jak będzie jutro? Co przyniesie najbliższy wieczór?

- Jeszcze buziak na dobranoc - odezwał się Riley. Jego głos brzmiał miękko, zmysłowo.

Bez namysłu obróciła się do niego. Zatracili się w pocałunku. Jak przez mgłę czuła dotyk jego rąk. Budził się w niej płomień.

Riley cofnął rękę. Wyprężyła się w jego ramionach, bezwiednie domagając się czegoś więcej.

- Riley...

- Nie - wyszeptał, bardziej do siebie niż do niej. - Dziś zachowamy rozsądek. Ale jutro przemówią zmysły.

Z cichym westchnieniem odsunął się od Venus. Wiedziała, ile go to kosztuje.

Nie chciała dłużej rozpamiętywać tego, co się stało. Zaczęła

myśleć o czekających ją jutro przygotowaniach. Nie chciała zadrećzać się przypuszczeniem, że może nigdy nie usłyszy z jego ust tego, co tak bardzo chciała usłyszeć. Że ją kocha.

Venus wyszła z przebieralni i podeszła do lustra. Sprzedawczyni popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Niesamowite. Nie miałam pojęcia, że ta suknia ma różowawy odcień.

Venus nie skomentowała. Znała tę czerwonawą poświatę. Zawsze tak się działo, gdy przepelniały ją ogromne emocje.

- Może to przez kontrast z moją karnacją - odparła bagatelizująco. - Mówią, że rudzi tak mają.

- Najważniejsze, że wygląda pani przepięknie - z uznaniem oceniła sprzedawczyni. - A jak pan uważa?

Riley z aprobatą kiwnął głową. Nie odrywał oczu od Venus. Wycięty, odsłaniający ramiona dekolt, długie wąskie rękawy z delikatnym haftem, wyszywany stan i spływająca do ziemi kaskada świetlistej organzy wykończona podwójną atłasową lamówką.

- Podoba ci się? - zapytała Venus. - Bo jeśli...

- Jest bardzo dobra.

- Może nieco za strojna jak... - zniżyła głos - jak na ślub bez tłumy gości. Ale chciałabym pięknie wyglądać. Kiedy będziesz wracać myślą do naszego ślubu, zawsze wspomnisz mnie właśnie taką.

Riley uśmiechnął się.

- Och, zapamiętam...

- Obejdę się bez welonu. Po prostu...
- Nie, nie, niech będzie welon.
- Mam wprost wymarzony do tej sukni - wtrąciła sprzedawczyni.
- Pokazać pani?
- Bardzo proszę - zdecydował za nią Riley.

Wyszywana perełkami i maleńkimi opalizującymi serduszkami woalką była leciutka jak chmurka. Venus wyglądała w niej prześlicznie.

- Świetnie - z uznaniem rzekł Riley. - W dodatku te serduszka. Ona je uwielbia.

- Naprawdę? - rozpromieniła się sprzedawczyni. - W takim razie mam dla pani doskonale buciki. - Z magazynku przyniosła parę białych pantofelków z cieniutkiej skórki ozdobionych atłasowym serduszkami obramowanym drobnymi perełkami.

- Ojej! - Venus bez namysłu wyciągnęła rękę.
- To ostatnia para - powiedziała sprzedawczyni.
Venus opuściła wyciągniętą rękę. Opamiętała się. Może to nawet nie jej rozmiar.

- Miałam zamiar założyć sandały. Są bardziej uniwersalne.
- Pozwoli pani. - Riley wyjął pantofelki i gestem poprosił narzeczoną, by usiadła.

Venus wyciągnęła stopę obciążoną jedwabną pończoszką, a Riley przykląkł przed nią. Ujął łydkę, przesunął palce niżej, by wsunąć pantofelek.

- Pasuje - oświadczył.

- Czuję się jak Kopciuszek - roześmiała się Venus. Riley uśmiechnął się.

- I bardzo dobrze, bo jeszcze nie padłem przed tobą na kolana, by błagać o twą rękę. - Sprzedawczyni, słysząc to, skrzywiła się lekko. Venus i Riley uśmiechnęli się do siebie.

- Co innego miałam na myśli - rzekła Venus. - Że znalazłam swojego księcia.

Riley zmarszczył brwi, spochmurniał.

- Bierzemy wszystko - oznajmił sprzedawczyni. - Bez pakowania, od razu. Bo inaczej spóźnimy się na nasz ślub.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Niewielka kapliczka mieściła się na parterze ogromnego hotelu połączonego z kasynem.

- Udzielamy ślubów non stop - z dumą oświadczyła recepcjonistka. - Jeden po drugim. - Podała Venus bukiet kwiatów. - Przydadzą się do gratisowego zdjęcia - wyjaśniła.

- Te kwiaty są z plastiku - obruszyła się Venus.

- Owszem, ale na zdjęciach tego nie widać.

Sądząc po wyglądzie, bukiet obsłużył już wiele ślubów. Trudno było nawet określić gatunek kwiatów.

- Są sztuczne - Venus podniosła głos. Recepcjonistka zacisnęła

wąskie usta.

- Woli pani to? - zapytała, podając różę z czerwonego jedwabiu.

Znacząco popatrzyła na zegar.

Róża na patyku, z niechęcią pomyślała Venus. Sztuczna aż do bólu.

- Niech ją pani weźmie, bo czas goni. Dziś dzień zakochanych. Największy ruch w interesie.

- Przecież wiem - mruknęła Venus, zerkając na stojącego przy kasie Rileya.

Odwrócił się, jakby poczuł na sobie jej wzrok.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Nie mogę tego wziąć - pokazała na wymęczony bukiet i żałośnie wyglądającą różę. - To muszą być prawdziwe kwiaty!

- Na zdjęciach wyjdą rewelacyjnie - zachęcająco powiedziała recepcjonistka. - Przecież chodzi tylko o efekt. Nikt nawet się nie domyśli.

- Ale ja to wiem - upierała się Venus. - Te kwiaty wszystko popsują, aura będzie inna.

Riley podpisał rachunek.

- Poczekaj, będzie dobrze.

Podszedł do Venus, wziął plastikowy bukiet i oddał go recepcjonistce.

- Zamówiłem kwiaty. Jeszcze ich nie przywieziono?

Recepcjonistka zrobiła dziwną minę.

- Owszem, dostaliśmy kwiaty z hotelowej kwiaciarni, ale

myślałam, że to żart. - Położyła na ladzie owiązane wstążeczkami pudło. Stuknęła palcem w dołączoną karteczkę. - Niech pan sam zobaczy.

Na bileciku widniało jedno słowo: „Venus”.

- To ja - spokojnie powiedziała Venus. - Tak się nazywam.

Recepcjonistka ledwie się powstrzymała, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Bardzo przemyślnie - rzekła wreszcie. - Venus. A ślub w walentynki.

- Nie planowałam tego - mruknęła, pochłonięta rozwiązywaniem wstążeczek.

- A ja tak - zareplikował Riley.

- To prawda - podchwyciła Venus. - Tylko że miałeś zenić się z kimś innym. - Wyjęła z pudełka przepiękny bukiet czerwonych róż, przesunęła palcem po świeżym paku. - Dziękuję - Popatrzyła na Riley'a.

- Za pamięć. Otworzyły się drzwi i z kaplicy wynurzyła się rozpromieniona para nowożeńców. Recepcjonistka wykazała się refleksem - w samą porę sypnęła na nich garść konfetti. Pstryknął aparat.

- Teraz wasza kolej. Włączę muzykę i zaczynamy. Proszę wchodzić.

Venus sięgnęła po bukiet i przez uchylone drzwi zerknęła do kaplicy. Sędzia pokoju niecierpliwie kręcił się przy pulpicie. Dwóch świadków wyraźnie się nudziło. Pomieszczenie było niewielkie. Niepewna swej decyzji panna młoda nawet nie zdążyłaby się rozmyślić.

Stanęli przed obliczem sędziego.

- Nie tego się spodziewałam - mruknęła Venus. - Zupełnie nie tego.

- Dziś są walentynki - przypomniała recepcjonistka. - Mamy ruch jak na taśmie. Nie zapominaj, moja droga, że liczy się to, co jest w sercu.

Te słowa do niej przemówiły. Popatrzyła na Rileya i zrobiła krok przed siebie. Ku przeznaczeniu. Kocha go, wie o tym. Inaczej to wszystko nie byłoby warte funta kłaków.

Nikt nie jest w stanie przejrzeć duszy drugiego człowieka, ale jednego była pewna - że Riley kochał ją na swój sposób. A jeśli jeszcze nie, ona postara się, by tak właśnie było.

Od tego zależy jej szczęście. Może Riley jeszcze nie zdaje sobie sprawy, lecz nie jest mu obojętna. Widziała to w jego oczach, po tym, co dla niej robił.

Ceremonia odbyła się w tradycyjny sposób. Gdy Riley powiedział sakramentalne „tak”, popatrzyła mu głęboko w oczy... i dostrzegła w nich to, co pragnęła zobaczyć. Wstąpiła w nią nadzieja.

- Teraz może pan pocałować pannę młodą - oznajmił sędzia. Nacisnął przycisk i w głośnikach rozległ się dźwięk marsza weselnego. Znak, że uroczystość dobiegła końca.

Weszli w chmurę kolorowego konfetti, aparat pstryknął kilka zdjęć i wreszcie znaleźli się na ulicy.

Przystanęli przed pulsującym neonem kasyna. Nie bardzo wiedzieli, co teraz ze sobą począć. Poryw pustynnego wiatru szarpał welonem.

Riley wziął ją za rękę, wsunął ich połączone dłonie do kieszeni. Podeszli do rogu.

- Chciałaś kiedyś całować się na ulicy, nie oglądając się na nic? Tylko dlatego, że już możesz? Bo jesteś po ślubie?

Venus uśmiechnęła się.

- Nigdy dotąd nie byłam po ślubie. - Zalotnie odrzuciła w tył głowę.

- Ja też nie. - Pochylił się ku niej, przygarnął do siebie, odszukał jej usta.

Z tyłu rozległy się śmiechy i trąbienie klaksonu. Riley z ociąganiem wypuścił ją z ramion.

- Mamy rezerwację na lunch, a potem... zobaczymy. Wiedziała, co chciał powiedzieć. Też na to czekała. I bała się. Poczowała dreszczyk na plecach.

Zapadał zmierzch, gdy wreszcie dotarli do hotelu. Nie raz i nie dwa w ciągu dnia przychodziło jej do głowy, że może Riley celowo opóźnia powrót. Włóczyli się od kasyna do kasyna, zaglądając po drodze do sklepów, pozdrawiani przez przechodniów składających im gratulacje z okazji ślubu.

W jednym z kasyn Venus postawiła dwadzieścia dolarów, które dał jej tata. Wszystko się składało, liczyła więc na wygraną. Niestety tym razem czternastka nie okazała się szczęśliwa. Powinno jej to dać do myślenia, ale szybko odepchnęła od siebie niejasne obawy. To żaden znak.

Tuż przed zmrokiem wrócili do apartamentu.

- Może chcesz zadzwonić do rodziców? - zapytał Riley. -

Powiedzieć, co się wydarzyło. I że tata stracił dwadzieścia dolarów.

Zaśmiała się perliście. Ostrożnie położyła bukiet na małym stoliku.

- Razem im to powiemy, kiedy ich poznasz. - Patrzyła, jak Riley zdejmuje marynarkę. I nagle uzmysłowiła sobie, że to jej mąż. -

Polubią cię, zobaczysz.

Znieruchomiał.

- Za to, że zabrałem ich małą dziewczynkę? Bez uprzedzenia, bez poproszenia o zgodę?

- Moi rodzice chcą, żebym była szczęśliwa. Zawsze mieli do mnie zaufanie. Wierzą, że dokonuję dobrych wyborów. To dotyczy też ciebie i naszego ślubu.

Odwrócił wzrok, jakby te słowa nie były po jego myśli. Sięgnął po mrozącą się w lodzie butelkę szampana. Kropelki wody kapnęły mu na spodnie.

- No, wreszcie mamy naprawdę dobry powód, żeby otworzyć szampana! - powiedział, spoglądając na Venus.

- Zauważyłeś, że zawsze czeka na nas nowa butelka?

- Pewnie jest w zestawie dla nowożeńców.

Podeszła do barku i wyjęła dwa wysokie kieliszki. Riley otworzył butelkę.

- Różowy - obwieścił z dziwną miną. Nalał musujący płyn do kieliszków. - Twój kolor ciągle się gdzieś pojawia.

- Tak - odparła cichym, zmysłowym głosem. Delikatnie stuknęła kieliszkiem w jego kieliszek. - W sam raz będę się komponować z twoją różową kuchnią. Riley zamyślił się.

- Życie jest bardzo dziwne. Miałem się po prostu ożenić, jak każdy, wziąć sobie zwyczajną żonę... I nagle spotkałem ciebie.

- Jak mam to rozumieć? - spytała.

- Chciałem powiedzieć... że przekroczyłaś ramy mojej wyobraźni.

Chyba powinna uznać to za komplement. Przyznawał, że budziła w nim jakieś uczucia. To już postęp.

- Chcesz powiedzieć, że uległeś sprytnym zabiegom tego cwaniaczka Amorka?

Riley prychnął, wypił zawartość kieliszka, odstawił go.

- Tak... a raczej zostałem sterroryzowany tymi wszystkimi serduszkami i kwiatkami.

Uśmiechnęła się, choć wcale nie było jej do śmiechu. Cóż, najpewniej niedługo dojdzie do konfrontacji.

Wychowała się wśród ludzi ceniących uczucia, nastawionych na miłość, natomiast Riley wręcz przeciwnie. Uczucia to coś, co z założenia odrzucał. Czy zdoła do niego dotrzeć? Przedrzeć się przez mury, jakimi się otoczył? Czasu nie miała zbyt wiele.

Nie mogła posłużyć się swoją mocą, bo w tym przypadku nie zadziała. Jedynie miłość może otworzyć jego serce.

Upiła łyk. Riley wyjął kieliszek z jej dłoni, postawił go na stoliku.

- Chcę cię pocałować - rzekł cicho.

Wtuliła się czule w jego ramiona. Kochaj mnie, prosiła w duchu.

Pocałował ją tak, że straciła dech. I przestała myśleć. Zarzuciła mu ręce na szyję, poddając się pieszczotom, rozkoszując się ciepłem jego dłoni, dotykiem ust.

Jak przez mgłę docierało do niej, że rozpina guziczki jej sukni, zsuwa z ramion, niesie ją na szerokie łoże. Zamknęła oczy, gdy położył się obok niej i znowu odszukał jej usta. Z wrażenia Venus wirowało w głowie. Chciała coś powiedzieć, lecz zagłuszył jej szept pocałunkiem.

Znieruchomiał, gdy nagle jęknęła. Popatrzył na nią ze szczerym zdumieniem.

- Venus... Nie wiedziałem, że...

- Nic nie mów - szepnęła. - Przecież tak powinno być, dopiero w noc poślubną...

- Gdybym wiedział, byłbym bardziej ostrożny. To twój pierwszy raz.

- Miałam nadzieję, że może sam się domyślisz. Potarł policzkiem jej policzek.

- Nie chcę sprawić ci bólu - wyszeptał. - Postaram się - dodał, przygarniając ją czule. Topniała w jego objęciach. Zatracili się w pocałunkach, w pieszczotach, we wszystkim, co sobie nawzajem ofiarowali.

Spleceni uściskiem, uśmiechali się do siebie. Riley łagodnie przesuwał dłonią po jej nagiej skórze. Wreszcie troskliwie okrył ją kołdrą.

- Jesteś taka piękna - wyznał z czułością. - Miałem niezwykle szczęście.

Otarła się głową o jego brodę.

- Dla mnie ty jesteś najpiękniejszy.

- Ale ty nie masz z kim mnie porównywać.

- Tak chyba powinno być?

Nie odpowiedział od razu. Poczula zimny dreszcz.

- Może. Ale szkoda, że mi nie powiedziałaś - stwierdził wreszcie.

- Gdybym wiedział, że to twój pierwszy raz, inaczej bym się zachował. Może nawet inaczej bym podszedł do tego małżeństwa.

- Inaczej? - zapytała. - A czy może być lepiej?

- Venus, przestań! Powinnaś była mi powiedzieć. Myślałem, że wchodzisz w ten układ z pełną świadomością. Że wiesz, o co w tym wszystkim chodzi, że masz już swoje doświadczenia. Zaskoczyłaś mnie.

- No wiesz! Mówisz, jakbyś się czuł rozczarowany.

- Nie o to chodzi. Po prostu... jestem ostrożny, staram się podchodzić do tego praktycznie.

- Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Bo nie chcę się angażować. Położyła dłoń na jego sercu.

- Przez myśl mi nie przeszło, że to cię zaskoczy - zaczęła cicho. - Zawsze postępuję zgodnie z własnym sumieniem, w najlepszej wierze. Dlatego wyszłam za ciebie, tobie oddałam się bez reszty. - Riley poruszył się niespokojnie. - Bo pragnę udanego małżeństwa z moim idealnym mężczyzną.

- W takim razie wybrałaś nieodpowiedniego - mruknął. - Nigdy taki nie będę. Nie jestem ideałem, nie stać mnie na uczucia.

Dopatrujesz się we mnie kogoś, kim nie jestem.

Zmartwiała. Z trudem zaczerpnęła powietrza.

- Chcesz powiedzieć, że dokonałam błędnego wyboru? - wydusiła przez zaciśnięte gardło.

Zawahał się. Wreszcie rzekł ze szczerą brutalnością:

- Nie chcę cię ranić, Venus. Przysięgam na Boga. - Objął ją mocno. - Ale nie każ mi mówić czegoś, co nie jest prawdą. Wyznawać uczucia, których we mnie nie ma. Od samego początku niczego przed tobą nie ukrywałem, niczego nie udawałem. Więc nie licz, że coś się zmieni. Teraz czy w przyszłości. Nie posunę się dalej, niż mogę. Tylko tyle, nic więcej.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Venus zauroczyła go. Okazała się wspaniałą, uwodzicielską kochanką. Była tak słodka, tak czarująca. Był już późny ranek, gdy wreszcie podnieśli się z łóżka.

Venus szykowała się w łazience, on niby przerzucał gazetę, tak dla pozorów, ale wciąż myślał o swej żonie. Jak wygląda, jaka jest... Przy niej wszystko wydawało się inne, smakowało inaczej. Słowa, jakie dotąd uważał za oczywiste, do niej zupełnie nie pasowały.

Venus wychyliła się z łazienki.

- Pewnie umierasz z głodu?

- A ty nie? - Odłożył gazetę i zrobił kilka kroków w stronę żony.

- Czy ja wiem... Czuję się jakoś inaczej, dziwnie. Gdy pomyślę, że zaraz stąd wyjdziemy, po tym, co razem przeżyliśmy... - Podniosła na niego oczy pełne nadziei. I nagle, bez uprzedzenia, wsunęła się pod jego ramię. - Chciałabym być dla ciebie dobrą żoną. Chcę, żebyś to wiedział.

Wzruszenie ścisnęło mu gardło. Z trudem przełknął ślinę.

- Oboje będziemy dla siebie dobrzy - wydusił. - Zobaczysz, że to się nam uda.

- Chciałabym sprawić, byś był szczęśliwy - powtórzyła.

-Naprawdę tego chcę.

- Już to zrobiłaś. Obiecałaś znaleźć mi żonę i dotrzymałaś słowa - zażartował.

- Nigdy nie przypuszczałam, że ktoś może się dla mnie stać tak bardzo bliski.

- Najbardziej jak to tylko możliwe - powiedział cicho, przyciskając twarz do jej skroni.

- Myślałam o czymś innym. Że nagle druga osoba staje się dla ciebie najważniejsza na świecie.

Nie chciał się w to wdawać, bo miłość i uczucia to śliski temat, a mimo to wciąż myślał o Venus, o jej otwartości, szczerości, wrażliwości. Nigdy nie zdoła jej tego odwzajemnić.

- Venus - powiedział łagodnie, starając się popchnąć jej myśli w

inną stronę. - Spóźnimy się na śniadanie.

- Och... - w jej głosie usłyszał nutę rozczarowania. - Ale ze mnie głuptas. Zapomniałam, że droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek.

- Jak mam to rozumieć?

- Po tej pierwszej nocy chciałam chwilę z tobą porozmawiać, powiedzieć ci, co czuję.

- Nie jestem dobry w te klocki, nie umiem o tym mówić. I czuję się winny, że nie potrafię. Venus, jesteśmy małżeństwem, rodziną. Szanujemy się, będziemy się starać, by było jak najlepiej. I to wystarczy, zapewniam cię.

Zamilkła ze ściśniętym sercem. A te wszystkie miłe słówka, którymi tak niedawno koił jej złaknione serce? Zapewniał, że jest najpiękniejsza, że nie chce jej skrzywdzić. Czy rzucał je na wiatr?

- W nocy czułam, że ci na mnie zależy.

- Bo tak jest. Wiedziałaś o tym, nim jeszcze złożyliśmy sobie przysięgę. Gramy w otwarte karty. Wiesz, czego się spodziewam po naszym związku. Proponuję ci wspólne życie, dzieci. Cała reszta jest do załatwienia.

Miał rację. Świadomie weszła w ten układ. Wiedziała, na co się decyduje. Zaryzykowała. Postanowiła skorzystać z szansy. Liczyła, że da radę. Że jej miłość wystarczy, by obudzić w nim te same uczucia.

- Byłeś ze mną szczery - powiedziała po chwili milczenia. - Nie mogę mieć do ciebie pretensji - dodała, choć w sercu czuła nieznośny ból.

Jak trudno przełknąć gorycz rozczarowania, jak trudno pogodzić się z myślą, że jej marzenia nigdy się nie ziszczą! Riley jest stanowczy. Nie zrobi kroku, nie wyciągnie ręki. Odrzuca jej miłość. Dla niej to dramat, początek końca. Z pewnością utraci swoją moc. To tylko kwestia czasu.

Popełniła błąd, za który przyjdzie jej słono zapłacić.

Nie cierpiała czekać na lotnisku. Zwykle urozmaicała sobie czas, wyszukując odpowiednich ludzi i kojarząc ich w pary. Dziś myśl, by tego spróbować, budziła w niej obawy.

Riley stanął przy barku, by kupić kanapki. Venus rozejrzała się po sali. Od razu wpadła jej w oko atrakcyjna dziewczyna. Wygodne pantofle na obcasie, przerzucony przez ramię praktyczny płaszcz. Wystarczył rzut oka, by zyskać absolutną pewność, że ta młoda kobieta żyje wyłącznie swoją pracą.

Wielka szkoda.

Znowu popatrzyła po pasażerach. Tamten mężczyzna byłby jak ulał. Pasuje wiekiem, podobny typ uśmiechu.

Oboje wolni i bez zobowiązań. Tajemny radar Venus był wyjątkowo wyostrzony. Czowała w sobie moc.

Pora rozpocząć eksperyment. Przysiadła na wolnym miejscu obok dziewczyny. Odczekała moment i nawiązała rozmowę na temat lotu. Potem zręcznie przeszła do pytania o pracę.

- Uwielbiam służbowe podróże do Denver - wyznała świeżo poznana Yvonne. - Gdy tylko trafia się okazja, nie zastanawiam się ani

chwili.

Ku jej radości upatrzony mężczyzna włączył się do rozmowy.

- Tak samo jak moi koledzy z pracy. Zgodzą się nawet na obniżkę pensji, byle tylko wyrwać się do Denver.

Szło świetnie. Poznanie imienia i nazwiska nieznajomego zabrało nie więcej jak kilkanaście sekund. Nabrała powietrza.

- Jim, to jest Yvonne Wright - odezwała się miękkim, słodkim głosem. - Yvonne, poznaj Jima Martina.

Uśmiechnęła się, czekając na wielki finał. Jednak nic takiego się nie stało. Yvonne popatrzyła na nią dziwnie. Jim postukał w klawiaturę laptopa.

- Hm, bardzo mi miło - wymruczał.

Nic. Zupełna klapa. Żadnej iskry. Po prostu klęska. Ogarnęło ją przerażenie.

- Czy wy może się znacie? - spytała, by się upewnić.

- Nie.

Yvonne spojrzała na nią podejrzliwie.

- A powinniśmy?

- Myślałam, że skoro lecicie tym samym samolotem...

- Mam nadzieję, że lubisz indyka - wyrwał ją z zamyślenia głos Rileya. Podał jej kanapkę.

- Tak - odparła machinalnie. Nie mogła dojść do siebie. Yvonne i Jim zajęli się swoimi sprawami, unikając jej wzroku.

Jeszcze nigdy się tak nie zblądziła. W swataniu nie miała sobie równych, a teraz poniosła totalną klęskę. Zdarzyło się topo raz

pierwszy! Nie mogła opanować lęku. Czyżby spełniały się jej najgorsze przypuszczenia? Czy traci swój dar, swoją moc?

Wszystko było zgodne z regułami sztuki, zabrakło tylko jednego - jej magii. Zgodziła się na związek bez miłości i natychmiast została srogo ukarana.

Opuściła ramiona. Czuła się bezradna. Jak to się stało? Myślała, że jest silniejsza, że pokona przeciwności losu.

Jak fatalnie się pomyliła! Jak beznadziejnie postąpiła!

Riley usiadł obok, podał jej serwetkę.

- Nie jesteś głodna?

Podniosła wzrok. Jego twarz zaczęła tracić kontury. Opalona skóra stała się szara jak popiół. Oczy zaślniły mocnym światłem, przenikały ją do głębi. Włosy jak ciemna chmura zafalowały wokół jego głowy.

Miała jakieś zwidy. Przeraziła się. Halucynacje zawsze zapowiadają całkowitą utratę nadnaturalnej mocy.

Świat wirował jej przed oczami. Rzeczywistość wymykała się spod kontroli.

Przesłanie jest oczywiste. Riley stanowi klucz do jej przyszłości, jest z nią nierozdzielnie związany. Jest jej przeznaczeniem, dla niego poświęciła wszystko.

Uświadomiła to sobie z drżeniem. Swój dar uważała za coś oczywistego, coś, co jest dane raz na zawsze. Przeceniła swoją moc. Pozwoliła, by osobiste pragnienia wzięły górę nad rozsądkiem.

Może już nigdy nie odzyska swojego daru? Znalazła się w

ślepy m zaułku.

- Venus? - usłyszala zaniepokojony głos Riley. - Co się z tobą dzieje? Wyglądasz, jakbyś ujrzala ducha.

- Coś mi się przywidziało - wymamrotała. Ogarnęło ją przesywające do głębi zimno. Przed oczami widziała oślepiające lśnienie.

- Słucham? - Chciała rozpakować kanapkę, lecz palce jej tak drżały, że nie mogła nad nimi zapanować. - Dopiero teraz - powiedziała, zmuszając się do zachowania spokoju - dotarło do mnie, że wyszłam za mąż. Za ciebie.

Popatrzył na nią z napięciem. Oczy mu pociemniały.

- I zastanawiasz się, co najlepszego zrobiłaś?

Wzięła głęboki oddech. Powoli wracała do równowagi. Już nie było jej tak przeraźliwie zimno, zaczęła odzyskiwać czucie w palcach i stopach.

- Nie - odpowiedziała mężnie. - Nic z tych rzeczy. Myślę tylko, co chcę i muszę zrobić, by zacząć wspólne życie.

Nie ma innego wyjścia. Całą energię musi skupić na Riley. Jest jej ostoją, całym światem.

Teraz jej nie kocha, lecz być może przyszłość okaże się łaskawsza. Wiele zależało od samej Venus...

- Będziesz musiał mi wybaczyć kilka rzeczy - powiedziała.

- Nie umiem gotować i szyć, nie mam pojęcia o prowadzeniu gospodarstwa. Znam tylko różnicę między przesyłką zwyczajną a ekspresową. Może to jakiś plus.

Uśmiechnął się lekko. Była mu za to wdzięczna.

- Jest wiele rzeczy, których jeszcze o sobie nie wiemy - rzekł w zamyśleniu.

- Więcej niż się spodziewasz - odpowiedziała cicho.

Wiadomość o niespodziewanym ślubie Venus nie okazała się szokiem ani dla jej rodziców, ani dla Lizandry. Zawsze taka była, działa pod wpływem chwili, z uśmiechem klarowali znajomym. I jej decyzje zawsze były trafne. Przyjęli Rileyę z otwartymi ramionami. Venus widziała, że to go speszyło.

Oczywiście nie obyło się bez hucznego wesela. Venus wystąpiła w ślubnej sukni, Riley wpiął goździk do klapy marynarki. Tata zamówił pięcioosobowy zespół, który przygrywał do tańca. Bawiono się do późnej nocy.

Potem sprawy potoczyły się normalnym rytmem. Venus zrezygnowała z pracy, wystawiła domek na sprzedaż i przeprowadziła się na rancho. Przestronny dom powoli zaczynał się zmieniać. Widać w nim było ślad kobiecej ręki.

Najbardziej niekonwencjonalne zmiany zaszły w sypialni, bowiem Venus ozdobiła sufit fluorescencyjnymi gwiazdkami. Teraz, leżąc w łóżku, patrzyło się na Wielki Wóz i Drogę Mleczną. Pamiętała, że w Las Vegas właśnie widoku gwiazd brakowało Rileyowi. Gdy o tym wspomniała, był poruszony, że o tym nie zapomniała.

- Pamiętam każde twoje słowo. - Powoli szykowali się do spania. Riley, który właśnie rozpinął koszulę, znieruchomiał. - To cię dziwi?

- W pewnym sensie tak. Podeszła i objęła go w talii.

- Ale podobają ci się te gwiazdy?
- Uhm. - Popatrzył na sufit. Ojciec by to uznał za szczyt głupoty.
- Już nawet przyzwyczailem się do tych serduszek w kuchni.
Pracownicy boją się myć ręce, żeby nie pobrudzić twoich różowych ręczników.

Venus roześmiała się pogodnie.

- Chcesz powiedzieć, że komplikuję ci życie? Popatrzył na nią poważnie.

- Nie w tym rzecz. Po prostu nigdy tu nie było serduszek i kwiatów. Czasami zastanawiam się, czy to moje życie, czy kogoś innego.

Popatrzyła na niego z udanym przerażeniem.

- Czy to znaczy, że ci się nie podoba?

- Skądże. Tylko muszę się przyzwycząić, oswoić. Odetchnęła z ulgą. Czyli wszystko jest na dobrej drodze.

Stopniowo przestawi go na inne tory, sprawi, że Riley się otwoczy, złagodnieje.

Zaprzyjaźniła się z Laddie, a potem zaczęła męczyć Rileya o kociaka. Początkowo się opierał, twierdził, że koty nie trzymają się rancza, że jest na nie uczulony. Lecz nie minął tydzień, a sam przyniósł do domu koszyk pełen kociąt.

- Będą mieszkać w stodole. Przydadzą się do łapania myszy.

Venus wzięła się też za ogród. Od lat nikt go nie uprawiał.

Zaparła się, że zrobi w nim porządek, więc spędzała tam każdą wolną chwilę.

Wypucowała też zamrażarkę i schowała w niej kawałek ślubnego tortu. Nie wierzyła w przesady, ale szanowała tradycje. Miło będzie skosztować go w pierwszą rocznicę ślubu.

W gościnnym pokoju upięła zasłony w różany wzór, w sypialni wyciągnęła z kąta skórzany fotel i podsunęła go bliżej okna, obok ustawiła niski stolik z książkami o Dzikim Zachodzie. Kupiła puchową kołdrę, miękką narzutę i delikatną bieliznę pościelową. Riley był zachwycony, a upojne noce zdawały się nie mieć końca.

Jednak z nadejściem dnia Riley stawał się inny, dziwnie odległy, chwilami wręcz szorstki. Miała wrażenie, że celowo się dystansował.

Czasami jednak czuła na sobie ukradkowe spojrzenia. Intrygowiała męża, fascynowała. Wiedziała, że o niej myśli. Pilnował, by nie zabrakło jej benzyny, wykonywał drobne usługi, nim zdążyła o nie poprosić.

W piątkową noc, gdy leżeli w łóżku, przesunął palcami po jej ramieniu.

- Wiesz, że zjadłaś wszystkie ogórki?

- Uhm. - Nie przestawał gładzić jej po ramieniu. Czekwała, że zaraz odszuka jej usta. Przytuliła się lekko, pieszczotliwie. - Jutro muszę pojechać na zakupy - wymruczała, prężąc się jak kot. - Trzeba kupić korniszony, lody, jeszcze coś. Pojedziesz ze mną?

- Nie dam rady, już zaplanowałem cały dzień.

- Szkoda - odparła lekko. - Chcę kupić test ciążowy. Muszę się upewnić, nim pójde do lekarza.

Znieruchomiał.

- Słucham?

Obróciła się na bok, przywarła do niego całym ciałem.

- Wygląda na to, panie Burke, że będziemy mieć dzidziusia.

- Jesteś w ciąży?

- Dziwisz się? Po tym, co wyrabialiśmy? - Uśmiechnęła się, musnęła ustami skórę na jego ramieniu.

- Nie spodziewałem się, że to będzie tak szybko.

- Podejrzewam, że to się stało w noc poślubną - wyznała, wtulając w niego twarz. - Albo zaraz potem.

Przestał ją gładzić. Zacisnął palce na jej ramieniu.

- Czyli niedługo rodzina nam się powiększy.

- Tak mi się zdaje. Lekarz określi termin, ale myślę, że pod koniec listopada będziesz tatusiem.

Riley prychnął cicho. Przesunęła dłońią po jego piersi.

- Powinniśmy to uczcić - powiedziała miękko, spodziewając się, że zaraz ją porwie w ramiona.

- Jutro urządzimy sobie uroczystą kolację. - Przygarnął ją mocniej.

- Uhm - zamruczała. Całym ciałem wrywała się do niego. Ułożyła się wygodniej.

- Nie boli? - przesunął dłońią po jej piersiach i brzuchu.

- Odrobinę.

- Nie chcę cię urazić.

- Nie bój się.

- Życie jest dziwne - rzekł po chwili. - Masz jakieś marzenia, a

kiedy w końcu zaczynają się spełniać, nie bardzo wiesz, jak do tego podejść.

Czytała między wierszami. Wiadomość, że zostanie ojcem, spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Jest szczęśliwy, tylko nie umie tego wyrazić. Nie będzie go naciskać. Niech powoli dojrzeje.

Jej życie zmieniło się w tak krótkim czasie. Ma męża, niedługo zostanie mamą. Dawne sprawy bezpowrotnie odeszły w przeszłość. Jej szczególny dar też rozwiął się bez śladu. Ale niczego nie będzie żałować.

- Teraz wiele nas czeka - podsumowała.

Riley nie opowiedział, tylko przygarnął ją mocno. Trwali tak w milczeniu. To była ich pierwsza noc bez miłosnych uniesień.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Z każdym dniem czuła zachodzące w niej zmiany. Cieszyła się, że jest w ciąży, że staje się coraz bardziej okrągła. Jednak jej radość mąciło zachowanie męża. Odkąd dowiedział się, że będą mieć dziecko, stał się inny.

Rodzina z entuzjazmem przyjęła wieść o potomku, za to Riley wydawał się coraz bardziej posepny, jakby przytłaczała go odpowiedzialność za żonę i dziecko. Venus nie mogła tego pojąć. Przecież ma to, czego pragnął.

Gdy wspominał o dziecku, jasno wynikało, że na pewno będzie to syn.

Dnie stawały się dłuższe i Riley coraz później wracał do domu. Bywało, że zupełnie się rozmijali. Przychodził, gdy już spała.

Nie mogła się z tym pogodzić. Wprawdzie wiedziała, że w gospodarstwie nastał gorący okres, jednak nie tak wyobrażała sobie małżeństwo. Riley chyba celowo wyszukiwał sobie preteksty, by się z nią nie widywać. W chwilach największego zwątpienia zastanawiała się, czy powodem jego niechęci nie jest jej zniekształcona figura.

- Rodzice urządzą piknik w święto Czwartego Lipca, zapraszają nas - powiedziała któregoś wieczoru, stawiając przed nim ulubioną pieczeń z dodatkami.

- Nie dam rady, musimy skosić siano. Jedź sama, jeśli masz ochotę.

- Chyba możesz zrobić sobie dzień odpoczynku? Pogoda jak drut, prognozy są bardzo optymistyczne...

- Mamy do skoszenia ogromny teren. Siano trzeba zebrać, bo w razie deszczu...

- Ale czwartego jest święto!

- Co z tego?

- Od tygodni na nic nie masz czasu. Dla mnie, dla mojej rodziny, dla nikogo.

Rzucił serwetkę na talerz.

- Chcesz się kłócić?

- Nie, chcę się tylko dowiedzieć, o co ci chodzi!

- O nic mi nie chodzi. Muszę skosić siano, to wszystko! -
podniósł głos.

Poczuła łyzy w oczach. Wzięła się w garść. Nie będzie płakać.

- Aha. Odkąd się dowiedziałeś, że będziemy mieć dziecko, stale
jesteś zajęty! - Jej głos brzmiał tłumioną emocją.

- Venus, to jest ranczo. Nie odłożę pilnych prac, bo jest święto.
Czy dlatego, że moja żona będzie mieć dziecko.

- Jasne! - prychnęła. - Ciekawe, czy będziesz mieć czas, gdy
zacznę je rodzić? - Widziała, że szczeka mu zadrgała. Oczy błysnęły
gniewnie. - Może powinnam wpasować się w odpowiednią porę?
Kiedy nie będziesz musiał kosić, jechać na targ czy sprzątać obór?

- Popełniłem błąd - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Po-
winienem był najpierw pokazać ci, na czym polega prowadzenie
rancza. I co z tego wynika.

- Rozumiem, że ranczer pracuje od rana do nocy - zaperzyła się -
ale przynajmniej w nocy ma czas dla żony! - Dopiero teraz ugryzła się
w język. Zasłoniła usta ręką. Nie miała pojęcia, co ją podkusiło.

Choć z drugiej strony od miesiąca Riley jej unika.

Zrobił wielkie oczy.

- A więc o to ci chodzi?

- Ja... - urwała. - Sama już nie wiem. Chyba o wszystko... - Bała
się to powiedzieć, jednak nie miała innego wyboru. - Brakuje mi ciebie.
Wysłałam za męża, bo chciałam być z tobą.

Riley skrzywił się. Unikał jej wzroku.

- Chcę być z tobą - rzekł zmienionym głosem - ale boję się, by

nic nie stało się dziecku... czy tobie.

- Boisz się o dziecko? - Dotknęła jego ramienia. - Niepotrzebnie. Lekarz powiedział, że nie ma żadnego zagrożenia, że śmiało możemy...

- Riley nadal milczał. Miał posępną minę.

- Nie wierzysz mi?

Wzruszył ramionami.

- Jeszcze trochę i dziecko przyjdzie na świat. To nie tak długo, możemy poczekać...

Dopiero teraz ją olśniło. Chodzi mu tylko o dziecko. Nie o nią. Nigdy jej nie pokocha, tak jak to z góry zapowiedział. Chciał się ożenić, żeby mieć dzieci. Posłużył się nią. Ta myśl była nie do zniesienia.

Podniosła się, by odejść, lecz nie pozwolił na to. Zacisnął palce na jej przegubie.

- Venus, chcę być z tobą, dzielić z tobą łóżko - powtórzył.

- Jak mam cię o tym przekonać?

Popatrzyła na niego. Łzy piekły pod powiekami. Miała dość, to za dużo jak na nią. Mocno zagryzła wargi.

Riley zaklął pod nosem. Venus cofnęła się raptownie.

- Nie chcę cię ranić - rzekł zmienionym głosem. - Nie chcę, by było ci przykro. Nigdy tego nie chciałem. - Puścił jej rękę, wstał. Widziała, że jest poruszony, ale nie wie, jak sobie radzić w tej sytuacji. Przesunął opuszką palca po jej ustach.

- Ugryzłaś się do krwi - wymamrotał.

- Rudzi mają cienką skórę - wydusiła. Zaśmiał się gorzko, ze

współczuciem.

- Jesteś nieszczęśliwa - bardziej stwierdził niż zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Chcę tylko odzyskać mojego męża. Znowu go mieć. W jego oczach przemknął dziwny cień.

- Nie wiem, czy to w ogóle możliwe - powiedział po chwili. - Naprawdę sam tego nie wiem.

Pocałował ją mocno, a potem wziął na ręce i zaniósł do sypialni. Delikatnie, jak cenną i kruchą istotkę. Kochali się aż do upojenia, jak dawniej. Topniała w jego ramionach.

- Czy to znaczy, że pojedziesz ze mną na piknik? - zapytała sennie, wtulona w jego ciało.

- Jasne - odparł bez wahania i troskliwie otulił ją kołdrą. Zamknęła oczy, oszołomiona tym, co się stało i jego nagłą przemianą. Może źle go oceniła? Może niepotrzebnie dopatrywała się problemów? Jest pochłonięty pracą na ranczu. To przecież niemożliwe, by ktoś tak wrażliwy i czuły jednocześnie mógł być rozmyślnie okrutny.

- Venus, nie chcę się z tobą kłócić, walczyć - powiedział cicho. - Tak jak dzisiaj.

- Ja też nie.

- Gdyby to miało się kiedyś powtórzyć, jeśli uznasz, że przed nami nie ma przyszłości, to wiedz, że nie będę ci robić przeszkód. Że zawsze możesz odejść. - Zamarła, słysząc te słowa. - Ale dziecko zostanie ze mną. To mój syn i jego miejsce jest tutaj, na ranczu. Obiecasz mi to?

Była tak zaskoczona tym oświadczeniem, że nie była w stanie wydobyć głosu. Skinęła głową. Dopiero później, nie mogąc usnąć, uświadomiła sobie, jak bezsensowne było żądanie Riley'a. Przecież ona nie zamierza od niego odejść. Odwrotnie, chce go oswoić.

Zżerał go niepokój i lęk. Stał się nieznośny, trudny w kontaktach. Wiedział o tym, lecz nic nie mógł na to poradzić. Starał się ograniczyć pracę i spędzać więcej czasu z Venus, jednak przez cały czas tlił się w nim strach, że go opuści. Że ma już dość monotonnego życia, że zechce je odmienić, poszukać nowych wrażeń.

Nie został stworzony do życia we dwoje, trudno go kochać.

Nie zaznał w życiu miłości. Mama nigdy nie miała dla niego czasu, aż wreszcie odeszła, nie oglądając się na męża i syna. Żyła własnym życiem. Kontakt z nią ograniczał się do okazyjnych kartek.

Od ojca nie usłyszał dobrego słowa. Był pozostawiony samemu sobie. Nauczył się z tym żyć, zyskał odporność na ciosy. Nie da się łatwo złamać.

Lecz teraz wszystko się zmieniało. Odkrywały się przed nim nowe horyzonty, sprawy, o jakich do tej pory nie miał pojęcia, uczucia, jakich nigdy nie doświadczył. Poznał smak niepewności, coraz częściej nachodziły go wątpliwości i żal za tym, co go ominęło. Uzmysłowił sobie, że nie jest przygotowany na te nowe przeżycia.

Zdarzały się dni, gdy z trwogą zastanawiał się, czy nie zaczyna wychodzić z niego natura ojca, czy nie czeka go taka sama przyszłość. Ogarniał go lęk, że Venus zostawi go dla młodszego, lepszego, bardziej

ujmującego mężczyzny, poszuka sobie miłszego, cieplejszego domu.

Przez całe życie starał się być inny niż ojciec, i był pewien, że to mu się udało, aż poznał Venus. Tak bardzo chciał utrzymać ją przy sobie, że strach go paraliżował. Za dobrze wiedział, jak wiele by stracił.

Nie chodziło tylko o dziecko, ale o nią. Nie chciał nawet myśleć, co by bez niej zrobił. Nie kocha jej, bo miłość to czysta abstrakcja. Nigdy jej nie zaznał i nie jest w stanie nikogo pokochać. Ale zależy mu na Venus. Nie wyobraża sobie bez niej życia.

Dlatego wymusił na niej tę obietnicę. Posunął się do szantażu, bo wiedział, że Venus nigdy nie zostawi dziecka. Nie ona.

Nieraz widział, jak gładzi się po zaokrąglonym brzuszku i czule przemawia do maleństwa. Przyglądał się temu ukradkiem, z sercem nabrzmiętym uczuciem, z nieznanym dotąd uniesieniem wsłuchując się w miękki, pieszczotliwy głos, jakim mówiła do ich małego synka.

Z przybyciem Venus tak wiele się zmieniło. Nie tylko na zewnątrz - on sam również powoli stawał się inny. Wzruszał go pokoik przygotowany przez Venus na przyjęcie malca. Utrzymany w pastelowych różach i błękitach, na półce dziecinne książeczki, w komodzie maleńkie ubranka i miniaturowe buciki, mięciutkie kocyki... Rzucił w kąt swoje zawodowe czasopisma i z fascynacją przeglądał kolorowe książeczki.

Wszystko to przerastało jego oczekiwania. Powoli zaczynał pojmować, że rodzina to coś dużo więcej, niż sobie wyobrażał.

Dom pełen różowych serduszek, czerwonych różyczek, przesycony aromatem domowego ciasta. I ta rudowłosa czarodziejka śpiąca

w pizamie z czarnego jedwabiu, jedynej, w jakiej się mieściła.

Cieszył się z tego wszystkiego, tylko nie potrafił tego wyrazić. Bał się choćby spróbować. Zaczął mieć wyrzuty sumienia. Nie wiedział, kiedy to się stało, jednak czuł się winny.

Był szczery z Venus - naprawdę nie chciał sprawić jej przykrości. A jednak to uczynił. Podstępnie wymógł na niej obietnicę, odtrącał ją, gdy słowa nie przechodziły mu przez zaciśnięte gardło. Zachowywał się, jakby nie doceniał jej starań, nie widział wysiłku wkładanego w utrzymanie domu, jej zainteresowania pracami na ranchu.

Nie znał drugiej takiej jak ona. Świetna dziewczyna, dobra, szlachetna, prostolinijna. Jednak blask, jaki dotąd rozjaśniał jej oczy, zaczął powoli gasnąć. Przez niego, przez jego zachowanie.

Venus zmieniła się, przestała być sobą. Nie mówiła już o miłości, o jej znaczeniu. Dawniej, na sam widok samotnych osób, od razu zapalała się do swatania. Teraz nawet nie napomykała o tym.

Uszczęśliwianie ludzi leżało w jej naturze, lecz teraz to się zmieniło. Podciął jej skrzydła, odebrał radość życia.

Jej oczy straciły blask. A przecież przyszłe matki zwykle tryskają szczęściem.

Martwił się o nią, lecz im bardziej się trapił, tym trudniej było mu z nią rozmawiać. Bał się, że jeszcze bardziej ją rozdrażni, pogorszy sprawę.

Zaczął jej unikać. Opóźniał powroty do domu, po pracy zatrzymywał się w barze, choć marzył, by znaleźć się przy żonie. To wszystko było bez sensu. Zaczynał zachowywać się jak ojciec. Wypijał

kilka piw i wpatrywał się w kufel, widząc na dnie oskarżycielski wzrok Venus. Przecież nie jest w stanie dać jej tego, czego pragnęła! Venus chce uczucia, chce, żeby ją kochał.

Z każdym dniem było jej coraz trudniej. Starła się wziąć w garść, jednak bywały chwile, gdy trudno było znieść milczenie Riley'a. Unikał jej, co gorsza miała wrażenie, że stale ją obserwuje.

Gdzie się podziała namiętność? Dlaczego miłość stała się czymś nieosiągalnym, dlaczego nawiedzała tylko wybranych?

Nie pojmowała męża. Przecież był dobrym, wrażliwym człowiekiem, a jednak nie potrafiła tego zaakceptować. Nie mogła wciąż traktować go, jakby był maleńkim dzieckiem, chodzić wokół niego na palcach. Nie tak powinno wyglądać małżeństwo.

Chce mieć w nim partnera. Wiedzieć, że może na nim polegać, że może na niego liczyć. I żeby to działało o obie strony. Tylko że Riley niczego od niej nie chciał. Czasem zdobywał się na jakąś wymuszoną pochwałę, a ona pragnęła czuć, że są razem, że razem idą przez życie.

Mama zaczęła coś podejrzewać, bo któregoś razu ostrożnie napomknęła, że gdy ma się pojawić pierwsze dziecko, niektórzy mężczyźni czują się odstawieni na boczny tor.

Venus nie wdawała się w dyskusję. Wolała nie roztrząsać tego, czy mama czegoś się domyśla. Czy już wie, że córka utraciła swój dar.

- Chyba ostatnio nikogo nie wyswatałaś? - zapytała któregoś popołudnia.

Venus poruszyła się niespokojnie. Nie wyjawi, że wyszła za

człowieka, który jej nie kocha. Nie zdobędzie się na to. Dla mamy to byłby szok, rzecz nie do pojęcia. Rodzice tak bardzo się kochają.-
Postanowiłam działać bardziej racjonalnie niż Lizandra. Staranniej dobierać ludzi w pary. Może tak będzie lepiej.

Mama pokiwała głową.

- A co na to twój mąż?

- Hm... Nic mu nie powiedziałam. Na razie wolę, by nie wiedział, że...

- Venus!

- Mamo, wszystko stało się tak nagle. Dajmy mu czas.

- Kochanie, jeśli on cię kocha, to wszystko zrozumie. - Właśnie, jeśli ją kocha. W tym cały problem. - Twój tata był zachwycony, gdy dowiedział się o naszych predyspozycjach. - Poklepała córkę po ręce. - Nie przejmuj się. Riley denerwuje się, że będzie mieć potomka. Nie chce się tobą dzielić. Tylko się martwię, gdy widzę te sińce pod oczami.

Venus uśmiechnęła się dzielnie. To nie jest zazdrość o dziecko, ale coś innego. Głębszego i bardziej istotnego.

Rozdzwięk między nią a Rileyem stawał się coraz większy. Dni mijały, zbliżał się termin porodu.

Wiedziała, że jeśli chce coś zmienić, musi to zrobić przed narodzeniem dziecka. Pojawienie się nowej istotki zaburzy dotychczasowy układ i nie wiadomo, czym to się skończy. Nie mogła o tym spokojnie myśleć. Zresztą ostatnio wszystko wyprowadzało ją z równowagi.

Czy na tym polega miłość, że człowiek ciągle się denerwuje, ciągle się zadręcza?

Nie miała już na to sił. Jedno, czego pragnie, to Riley, dlatego musi zacząć działać. Tylko wtedy zyska szansę na miłość, poczucie bezpieczeństwa dla dziecka, znów poczuje moc.

Wstała skoro świt, nim jeszcze Riley zdążył zniknąć z domu. Była piąta rano, za oknem ciemność.

Zamarł, widząc ją na progu kuchni.

- Już wstałaś?

- Wczoraj nie doczekałam się ciebie. - Riley zrobił skruszoną minę. Domyślała się, że znowu był w barze, ten zapach tytoniu i piwa...

Podniosła patelnię z kuchenki. - Usmażyć ci jajka? Chcesz?

- Poproszę. Jeśli to nie problem.

- Żaden problem. - Zapaliła gaz. Riley zakładał buty.

- Ja... wczoraj wpadłem na starego znajomego, chcieliśmy chwilę pogadać - zaczął się tłumaczyć.

- Aha. - Nie odwróciła się od kuchenki. Westchnął, podniósł się i podszedł do żony. Objął ją.

- Wiem, że powinienem zadzwonić - rzekł skruszony. - I miałem to zrobić, ale bałem się, że cię obudzę, a tobie potrzeba wypoczynku.

Venus zamieszała jajka.

- I tak nie mogę spać.

- Nie powinnaś wstawać tak wcześnie. Teraz łatwo się męczysz, więc...

Przewróciła jajka na drugą stronę.

- Nie mogę leżeć. W każdej pozycji jest mi niewygodnie. -
Wzruszyła ramionami. - Ani stać, ani siedzieć. Ale to już niedługo
potrwa.

Delikatnie uścisnął ją za ramiona.

- Wczoraj wolałbym być z tobą - rzekł niepewnie. To otwierało
jej furtkę. Przełożyła jajka na talerz.

- Możesz się zrehabilitować. - Popatrzyła na niego.

- Dobrze. Tylko jak?

- O dziesiątej jestem umówiona na USG. Pojedź ze mną. Odsunął
się raptownie.

- Ale... - zerknął na zegarek.

- Mówiłam ci o tym już w zeszłym tygodniu. Nabrał powietrza.

Widziała, że chce się wykręcić.

- Jak ja tam będę wyglądał? Poczekalnia pełna pań i...

- Chcesz się wywinąć i szukasz pretekstu. Milczał przez chwilę.

- Chyba tak. Bo widzisz...

- Riley, bardzo mi na tym zależy. Trochę się boję. - To małe
kłamstwo uświęcało cel. - Wiem, że będziesz się śmiał, ale ty jesteś
taki silny, że przy tobie od razu czuję się pewniej. - To już było bliskie
prawdy. - Gdy będziesz przy mnie, stanę się silniejsza. Skoro masz
takie opory, schowasz się za drzwiami.

Widziała, że się waha.

- To nasze wspólne dziecko - ciągnęła miękko. Przyłożyła jego
dłoń do zaokrąglonego brzucha. - Jeszcze nie słyszałeś bicia
maleńkiego serduszka. - Umilkła, bo dziecko się poruszyło. - Twój

ojciec nie był przy twoich narodzinach, ale ty jesteś inny. Sam mi to powiedziałeś. Starasz się przecież wszystko robić inaczej.

Zacisnął szczęki.

- To o której wyjeżdżamy?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nie mógł oderwać oczu od monitora. Słyszał bicie serduszka tej ledwie widocznej drobiny. Serce podeszło mu do gardła. Wziął głęboki oddech, lecz nadal brakowało mu powietrza.

Te maleńkie rączki i nóżki. Bezbronna, krucha istotka.

Dławiło go w gardle. Próbował przełknąć ślinę, lecz nie mógł. Ścisnął palce Venus. Mój Boże! To nasze dziecko, które już wkrótce przyjdzie na świat. Wzruszenie odbierało mu głos.

- Hm, dziwne... - dobiegł go głos laborantki, która patrzyła z napięciem w monitor. - Skąd ta różowa poświata? Może przez to poranne światło? Robiła pani wcześniej takie badanie?

Venus wychyliła się, by lepiej widzieć ekran.

- Nie - odparła bez tchu. Czowała, jak rośnie w niej wiara i nadzieja.

- Ciekawe. Nigdy z czymś takim się nie spotkałam. - Laborantka postukała w monitor. - To niemal jak...

Riley zmarszczył czoło, dziwnie popatrzył na żonę.

- Może odbija się mój zakiet - podsunęła Venus, wskazując na

czerwoną marynarkę powieszoną obok okna.

Riley spochmurniał. Chyba zaczął coś podejrzewać.

- Pewnie jakaś wada sprzętu - powiedziała laborantka. - Coś mogło się popsuć.

- A poza tym wszystko w porządku? - zmieniła szybko temat Venus.

- Nie jestem lekarzem, ale na moje oko jest bardzo dobrze.

Wygląda na zdrową... - Urwała raptownie. - Przepraszam. Chcieliście państwo znać płęć? - zapytała ostrożnie.

- To dziewczynka? - z niedowierzaniem odezwał się Riley.

Wypuścił dłoń żony. - Dziewczynka?

- Przepraszam - wycofywała się laborantka. - Nie chciałam popsuć państwu niespodzianki. Zresztą mogę się mylić.

- Nic się nie stało - zapewniła Venus. - Proszę się tak nie przejmować.

- Zaraz, chwileczkę. - Riley pochylił się, by lepiej widzieć ekran.

- To niemożliwe. Musi być jakaś pomyłka. My mamy chłopca.

Kobieta zduśiła śmiech, słysząc to dumne oświadczenie.

- Oczywiście mogę się mylić, panie Burke, jednak w tym przypadku jestem niemal pewna...

- Nie - przerwał kategorięcznym, bardzo podenerwowanym tonem. - My mamy chłopca.

- Riley! - Venus dotknęła jego piersi, by przywołać go do porządku.

Nic z tego. Twarz mu spochmurniała. Był przybity i roz-

czarowany.

- I co ja pocznę z dziewczynką? - jęknął.

Droga powrotna upływała w milczeniu. Do domu zostało jeszcze kilkanaście kilometrów. Przez ten czas Venus musiała dojść z nim do ładu, powiedzieć, co ma do powiedzenia. To najlepszy moment, musi jej wysłuchać, przecież nie wysiądzie.

- Wychodzi na to, że zawiodłam na wszystkich frontach - zaczęła ze wzrokiem wbitym przed siebie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Owszem, wiesz. I nie próbuj mydlić mi oczu. Umiem sprawić, że ludzie nagle zakochują się w sobie, ale w tobie nie potrafię obudzić miłości. Mogę dać ci córkę, ale nie potrafię dać ci syna.

- To nie ma znaczenia. - Włączył radio. Odczekała, aż cofnie rękę, i wyłączyła radio.

- Oczywiście, że ma znaczenie. Dla ciebie ogromne. I nie przekonuj mnie, że jest inaczej. Widziałam to po twojej twarzy. Rozczarowałam cię. Zawiodłam na całej linii...

- Przestajesz? - Zacisnął palce na kierownicy.

- Myślisz, że znów chcę się kłócić?

- A nie jest tak?

- Już sama nie wiem, co jest z nami. Im bardziej się staram, żebyś był szczęśliwy, tym większą ponoszę porażkę - odparła, rozpaczliwie walcząc z ogarniającym ją przygnębieniem.

- Nie rozczarowałaś mnie - mruknął. - Tylko naprawdę nie wiem,

co się z tobą stało. Zmieniłaś się. Ciągłe czegoś ode mnie chcesz, coraz to więcej.

- Ja się zmieniłam? - Pytanie zawisło w powietrzu. Dotknęła ręką brzucha. - No tak, masz rację. Pod każdym względem.

Nacisnął mocniej na gaz.

- Zwolnij - poprosiła.

Wziął głęboki oddech, zmniejszył prędkość.

- Owszem, zmieniłam się - zaczęła po długim milczeniu. - Stałam się kobietą. Przez całe życie czekałam na ciebie. To ciebie wybrałam, świadomie. Noszę twoje dziecko. - Riley opuścił powieki. Gdy je otworzył, jego oczy lśniły chłodnym blaskiem. - Ale przede wszystkim obdarzyłam cię bezgraniczną miłością... której nie chcesz.

Zamrugnął. Wzrok ciągle miał wbity w szosę przez sobą.

- Niepotrzebnie się tak denerwujesz - rzucił. - To nie jest wskazane ani dla ciebie, ani dla dziecka.

- Nie denerwuję się! - odparowała ze złością. - Tylko ta sytuacja jest nie do zniesienia! Całe to nasze małżeństwo!

- Nie jest tak słodko, jak sobie wyobrażałaś? Ale ja ci nic nie obiecywałem. Od samego początku mówiłem, że nie jestem zdolny do takich uczuć! - Widząc jej minę, dodał: - Łatwo składać deklaracje bez pokrycia. Daję głowę, że połowa par, które brały ślub razem z nami, już dawno się rozwiodła albo jest w trakcie rozwodu.

- Tak myślisz? - zapytała głucho.

- No dobrze! Wiem, że ślub też nie był taki, jaki sobie wymarzyłaś!

Wyprostowała się w fotelu.

- Już ci mówiłam, że to nie ma znaczenia. Ważne, co oboje chcemy wnieść do małżeństwa. Nie wyszłabym za ciebie, gdybym tego nie chciała.

- A mnie nie byłoby tu teraz, gdybym tego nie chciał! - zaperzył się. - Może nie składam dętych deklaracji, ale jestem przy tobie i będę! Przez długi czas. Może nasze małżeństwo nie przetrwa, lecz nie zostawię dziecka. Chyba też tego chcesz.

Zagryzła usta, wbiła wzrok w dywanik pod nogami. Riley postanowił kuć żelazo, póki gorące.

- Venus, daj spokój. Niepotrzebnie się spieramy, nie ma o co. Oboje chcemy tego samego dla naszego dziecka.

- Nie chodzi tylko o dziecko. A co będzie z nami?

- Z nami?

- Z naszym małżeństwem. To przecież podstawa, a zaczyna się chwiać.

Zmroziło go to stwierdzenie.

- Może nie będzie wieczne, ale to niczego nie przekreśla.

-Możemy razem wychować dziecko. Wiele osób tak robi. - Jego słowa zrobiły na niej piorunujące wrażenie. Widział to, jednak ciągnął dalej: - Każde z nas może mieć swoje życie.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Wszystko, co z taką pieczołowitością chroniła, marzenia i wspomnienia, teraz obracało się w proch.

Pokonał ją. Jest silniejszy, bardziej od niej odporny. Postawił na

swoim. Nie miała z nim szans.

Gdy dojeżdżali do domu, Riley celowo zwolnił.

- Chyba nie wszystko jest dla ciebie jasne - chwyciła się ostatniej deski ratunku. Oczy jej płonęły, głos brzmiał słodko. - Kocham cię - powiedziała tonem, jakim kiedyś sprowadzała miłość na nowo poznane pary. - Kocham ciebie i nasze dziecko. Tak bardzo, że nigdy na to nie pójdę.

Skreślił na podjazd. Słyszała bicie serca Riley'a.

- Coś na to poradzimy. Oczekała, aż wyłączy silnik.

- Łudzisz się - powiedziała wolno. - Nic nie da się zrobić.

Zasłiśmy za daleko. Miałam nadzieję, że jeśli dam ci czas, przejrysz na oczy, lecz nic z tego. Za dużo mnie to kosztowało. Nie masz nawet pojęcia, jak wiele straciłam. Już nawet nie wiem, kim naprawdę jestem.

- Venus... - wyciągnął rękę w geście pojednania, lecz odtrąciła go i wysiadła.

Szła dumnie wyprostowana. Pośpieszył za nią, otworzył frontowe drzwi.

Venus zatrzymała się na środku salonu, upuściła torebkę na stolik przy kanapie i zrzuciła z nóg pantofle.

- Jestem zmęczona, Riley. Mam dość wszystkiego.

Chwycił obszytą falbanką poduszeczkę w kształcie serca, ułożył ją na kanapie.

- Połóż się tu - poprosił żarliwie. - Zobaczysz, od razu poczujesz się lepiej.

Popatrzyła na poduszeczkę, zaśmiała się gorzko. Za mało. Za

późno.

Mama twierdziła, że niektórzy mężczyźni nic nie kojarzą i trzeba im wyłożyć kawę na ławę. Może Riley też taki jest? Do tej pory sądziła, że chodzi o jego upór, lecz chyba się myliła. Może jest kompletnie impregnowany i nie dociera do niego, jak bardzo go kocha. I nie rozumie, jak wiele może stracić.

- Dziękuję, ale to inne zmęczenie. - Pokręciła głową i ruszyła do sypialni. - Potrzeba mi trochę dystansu. Muszę się zastanowić, czego naprawdę chcę. Z dala od tego życia, z dala od naszego małżeństwa. - Odwróciła się do niego, uśmiechnęła blado. - Kto wie? Może uda mi się odnaleźć to, co straciłam? Może wtedy wszystko się odmieni? Może znajdę sposób na życie z tobą... albo, jeśli to się nie uda, na życie bez ciebie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Była w rozterce. Co teraz? Otworzyła się przed nim, wyznała swoje uczucia. Powiedziała wprost, że go kocha. Co mogła zrobić więcej?

Powinna natychmiast wyjechać. Torba już i tak jest w połowie spakowana, przemknęło jej przez myśl. Na wszelki wypadek przygotowała rzeczy niezbędne do szpitala: nową różową koszulkę, kapcie, różne drobiazgi. Wyciągnęła ją z szafy, rozpięła suwak. Zaczęła

pośpiesznie zdejmować ubrania z wieszaków i wrzucać je do torby. Potrącane wieszaki dźwięczały, uderzały w ścianę szafy. Nie zwracała na to uwagi.

Popatrzyła na pustą przestrzeń. Jeszcze przed chwilą tu wisiały jej rzeczy. Obok ubrań Riley'a. Została tylko ziejąca pustka.

Jak w jej sercu.

Gdzieś w środku poczuła ostre ukłucie bólu. Nabrała powietrza, przysiadła na łóżku i skurczyła się w sobie. Objęła brzuch. Na szczęście ból minął.

Może Riley ma rację. Nie powinna się tak bardzo denerwować, bo tylko szkodzi sobie i nie narodzonemu dziecku. Musi wytrzymać jeszcze tych kilka tygodni.

Podniosła się. Nogi miała jak z waty.

To z powodu ciąży, pocieszyła się. Huśtawka hormonów, nadwrażliwość. Musi się wyciszyć, poruszać się wolniej.

Metodycznie spakowała torbę, zamknęła ją. I znowu przeszył ją ten przeraźliwy ból. Zabrakło jej powietrza. Zamknęła oczy.

Powoli liczyła do dziesięciu. Ból minął tak szybko, jak nadszedł. Wstała, zasunęła zamek. Jednak pewność ją opuściła.

Może jeszcze powinna się zastanowić. Może to nie jest najważniejszy moment, by wyjeżdżać. Jest taka słaba.

I jeszcze coś. Teraz nie da się ocenić skutków tej decyzji. Kto wie, może okaże się ostateczna. Zamknie sobie drogę powrotu. Riley jest zawzięty, nieskłonny do kompromisów. A przecież nie chciała go stracić z powodu jednej, powziętej pod wpływem emocji decyzji.

Ale on mnie nie kocha. I nigdy nie pokocha, natarczywie podpowiadał wewnętrzny głos.

Podniosła torbę i ruszyła do wyjścia.

Riley stał w salonie. Patrzył w okno. Minęła go i wyszła na ganek. Podeszła do samochodu, wrzuciła torbę na tylne siedzenie.

Usłyszała za sobą odgłos kroków.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał.

Odwróciła się raptownie, już mając na końcu języka ciętą odpowiedź. Nie zdążyła. Życie jej nie dało. Nowe życie.

Dziecko gwałtownie obróciło się w jej łonie. Poczowała mokre strużki na udach, dziwne pulsowanie w środku.

Niepewnie popatrzyła na stopy. Na spodniach i skarpetkach powiększały się mokre plamy.

Odeszły wody.

- No więc? - powtórzył Riley.

Kręciło się jej w głowie. Popatrzyła na niego. To ojciec jej dziecka. Dziesiątki razy był przy narodzinach cieląt, a jednak przyznał, że trochę przeraża go myśl uczestniczenia przy jej porodzie. Bał się, że do niczego się nie nada. Nagle uświadomiła sobie, że sama nie podoła. Że Riley musi być przy niej w tym decydującym momencie. Samej nie starczy jej sił, to przy nim stawała się mocna, przy nim chciała żyć... i walczyć.

Kocha go i zawsze będzie go kochać. Nawet jeśli nie będzie mogła być z nim. I zawsze będzie cierpieć, mając świadomość, że nie obdarzył jej uczuciem. Znowu przeszył ją ból.

- Ja? - odparła z naciskiem. - Do szpitala. Urodzić nasze dziecko.
Chcesz jechać?

Riley popatrzył na nią przenikliwie.

- Zamierzałaś mnie opuścić, prawda?

Objęła się rękami za brzuch. Z całą pewnością nie wyglądam
teraz apetycznie, przemknęło jej przez myśl.

- Tak.

Venus zamknęła oczy, odchyliła głowę na oparcie fotela. Jechali
pograżeni w ciężkim milczeniu.

- Nie chciałem, byś wyjeżdżała - powiedział po dłuższej przerwie
Riley.

Nie otworzyła oczu.

- Wiem. Lecz teraz musisz mnie odwieźć do szpitala, bym
urodziła dziecko, którego nie chcesz.

- Nigdy tego nie powiedziałem - zaprzeczył. - Po prostu byłem
zaskoczony, nic więcej.

- Wiedziałeś, że będziemy mieć dziecko, wiedziałeś, że płci nie
da się zaplanować, wymusić na naturze. Może być albo chłopiec, albo
dziewczynka. Dziecko, twoje dziecko.

Riley westchnął ciężko.

- Masz rację, zachowałem się jak bałwan. Wbiłem sobie do
głowy, że to będzie chłopiec, a ja nauczę go tego, na czym się znam:
jazdy konnej, prowadzenia rancza, takich rzeczy. Zupełnie nie mam
pojęcia, co lubią dziewczynki. Venus otworzyła jedno oko, zerknęła na

niego.

- Wychowałem się wśród mężczyzn, znam się na męskich zajęciach. Uwierz mi, wcale nie czuję się zawiedziony, że będziemy mieć dziewczynkę. Jestem tylko trochę... po prostu trochę się tego boję.

Otworzyła szeroko oczy, wyprostowała się, na ile mogła.

- Boisz się? Ty?

- Pewnie! - wybuchnął. - Jest mnóstwo rzeczy, których się obawiam.

- Na przykład?

- Na przykład, że będziemy się spierać, jak dać jej na imię - mruknął po chwili.

- Sprytne, ale chciałabym usłyszeć prawdę. Więc czego się boisz?

- Venus, nie naciskaj. Nie jestem rozczarowany, że będziemy mieć córkę. Powoli wszystkiego się nauczę. A jeśli będzie podobna do ciebie...

- To co? Zawahał się.

- To będę wdzięczny niebiosom.

Łzy napłynęły jej do oczu. Będzie wdzięczny. Od tych słów już całkiem blisko do tego, co tak bardzo chciała usłyszeć. Tego, co jest jej niezbędne do życia. Inaczej skończy jak ciocia Sirena, daremnie wyglądająca miłości od tego, którego pokochała.

- Głupio założyłem, uparłem się jak muł, że to będzie chłopak. I ani przez chwilę nie myślałem, że może być inaczej.

- Pod tym względem jesteśmy do siebie podobni - podsumowała Venus. Wzięła głęboki oddech, bo znowu dopadł ją atak bólu.

Odczekała, aż minie. - Ja też myślałam, że jeśli skoncentruję się na miłości do ciebie, to któregoś dnia ty też mnie pokochasz.

Zastygł, jakby ktoś oblał go zimną wodą.

- Okazało się - kontynuowała Venus - że tak się nie stało. Że nie wystarczą pobożne życzenia. Wychowałam się w przeświadczeniu, że miłość jest najważniejsza, że daje nam siłę do zmierzenia się z życiem. Uważałam, że kojarzenie par jest moim posłannictwem - rzekła ostrożnie. - To stało się moją misją, czy też bardzo ważnym hobby.

- Poszukamy ci czegoś nowego - mruknął Riley, podjeżdżając pod szpital.

- Nie warto, to nic nie zda. Nie zmienię swojej natury. Zatrzymał samochód, odwrócił się i popatrzył na Venus.

- Taka już jestem. Czy tego chcesz, czy nie - rzekła cicho.

- Super - mruknął. - Czemu akurat mnie musiała trafić się żona, która realizuje się w swataniu? Myślisz, że masz do tego predyspozycje, że to twoja misja?

Venus uśmiechnęła się blado.

- Niektórych rzeczy nie da się przeskoczyć. Próbowałam, Bóg mi świadkiem. Jednak bez miłości nasz związek nie ma szans. W każdym razie z mojego punktu widzenia. Już wiele straciłam, być może bezpowrotnie. Nie pójdę na żaden kompromis... - Urwała, skuliła się z bólu, na dolnej wardze błysnęły kropelki potu.

Podziwiał jej męstwo, jej wytrwałość. Zgięta wpół chroni tę rosnącą w niej kruszynkę. Dzielna dziewczyna. Jego żona. Nie zadowolili się byle czym, nie pójdzie na łatwiznę. Żadne półśrodki nie

wchodzą w grę, żadne kompromisy.

Wyskoczył z samochodu. W głowie kłębiły mu się tysiące myśli. Bał się. Wszystko budziło w nim trwogę. Dziecko, które niedługo przyjdzie na świat, i myśl, że może je stracić. Bał się życia razem i życia w samotności.

Do tej pory sądził, że uda im się wypracować jakiś kompromis. Tak to sobie wyobrażał. Że dopuści Venus do swego życia, lecz w ściśle określonych, przez niego wytyczonych granicach.

Przeliczył się. I to bardzo.

Jęknęła cicho, chwyciła rękami za brzuch.

- Oddychaj - prosił. - Tak jak ci mówili.

Ostrożnie wziął ją na ręce, pchnął drzwi i pośpiesznie ruszył do wejścia. Przez cały czas modlił się w duchu za Venus i za małą córeczkę. Może Bóg ulituje się nad nim, człowiekiem o zatwardziałym sercu, może go wysłucha.

Z Venus w ramionach wszedł na izbę przyjęć.

- Nasze dziecko pcha się na świat - zdyszonym głosem rzekł do siedzącej za ladą pielęgniarki. - A jego tatuś jest trochę przerażony.

- Dobrze, dobrze, teraz... Przyj! - krzyknął lekarz. - Jeszcze mocniej. Dobrze.

Miała buzię czerwoną z wysiłku. Riley troskliwie otarł jej czoło wilgotnym ręczniczkiem. Drugą dłoń mocno splótł z jej dłonią, dodając jej otuchy.

- Świetnie ci idzie, kochanie - szeptał jej do ucha. Venus nabrała

powietrza, uśmiechnęła się blado.

- Zabawnie wyglądasz bez kowbojskiego kapelusza.

- Kto by pomyślał, że do tego dojdzie, co? - odparł Riley, poprawiając na głowie chirurgiczny czepek.

Venus nie odpowiedziała, skrzywiła się z bólu. Przyszedł kolejny skurcz.

- Główka już jest! - ucieszył się lekarz. - Popatrzcie na tę rudą czuprynkę! - Wszyscy, łącznie z Venus i Rileyem, roześmieli się. - Jeszcze trochę i będzie po wszystkim.

Po trzecim skurczu dziecko było na świecie.

- Dziewczynka! Wygląda doskonale!

Riley rozpromienił się w uśmiechu, Venus opadła na poduszki. Po chwili położono jej na brzuchu owiniętą w ciepły ręczniczek istotkę.

Popatrzyła na kwilące dziecko. Riley delikatnie przesunął opuszką palca po małej rączce.

- Zobacz - szepnął. - Stworzone do cugli. Będzie się ścigać. Uśmiechnęła się. Oczami wyobraźni widziała dziewczynkę biegnącą po ranczu. Spłowiałe dżinsy, włosy związane w kucyki, kowbojski kapelusz. Tylko że na tym obrazku nie było Rileya...

- Jest taka śliczna - szepnął głosem łamiącym się ze wzruszenia i zachwytu. Odgarnął z twarzy Venus wilgotne od potu kosmyki, musnął ustami jej czoło.

- Jest jak jej mama - powiedział. - Doskonała.

- Teraz zabierzemy panią na salę - powiedziała pielęgniarka. -

Dziecko zostanie umyte, zważone i zbadane, a potem przyniesione do

pani. Czy już wiadomo, jak będzie się nazywać?

- Pandora - bez namysłu odparła Venus. - Ze względu na moją mamę.

Pielęgniarka nie kryła zdziwienia, lecz Riley skinął głową na potwierdzenie.

- A drugie imię? - zapytała.

- Altea. Pandora Altea - oświadczyła Venus. Uścisnęła dłoń męża. - To greckie imię - szepnęła. - Oznacza, że miłość wszystko uzdrowia, przynosi szczęście.

Riley uśmiechnął się, popatrzył na oniemiałą pielęgniarkę.

- Mało typowe imiona, prawda?

Zaśmiała się, wzięła zawiniątko z niemowlęciem i odeszła.

- Nie wiem, dlaczego sobie wbiłem do głowy, że będziemy mieć chłopca - cicho odezwał się Riley i pochylił się nad żoną.

- Bo marzyłeś o synu.

- Albo dlatego, że w naszej rodzinie od wielu pokoleń rodzą się chłopcy.

- Wiele się zmienia, dzięki nam - powiedziała łagodnie. Chciała go dotknąć, lecz się powstrzymała. Intuicyjnie wiedziała, że to on powinien zrobić pierwszy krok.

- Chyba tak. - Znowu zapadło ciężkie milczenie. - Ale się tym nie przejmuję. I wcale nie żałuję, że nie mamy chłopca. Nic a nic.

Zawahala się.

- Wierzę ci. Ale są jeszcze inne sprawy...

- Dotyczące nas?

- Właśnie. - Uśmiechnęła się smutno. - Przez te ostatnie miesiące...

- Zapomnijmy o tym - rzekł posepnie. - Musieliśmy się do siebie dopasować. Zawsze tak jest. Dopiero po ślubie ustala się, kto wynosi śmieci, kto z której strony śpi.

- To są drobiazgi, Riley.

- Opowiada się bzdury zamiast mówić to, co naprawdę chciałoby się powiedzieć...

- Na przykład?

- Że za nic nie chcę cię stracić - uśmiechnął się błado. - Że nie chcę, żebyś odjechała. - Wbiła w niego wzrok. - Venus, przecież wiesz. Jestem nieobytym, nieokrzesanym kowbojem.

- Nie mów tak. Wcale tak nie jest.

- Nie ma mnie za co lubić, a tym bardziej kochać. Nie wiem, jak ze mną wytrzymałaś.

- To była dla mnie próba. - Uśmiechnęła się leciutko.

- Tak bardzo się bałem, że mogę cię stracić. Wołałem zniechęcić cię do mnie, myślałem, że tak będzie mi łatwiej, jeśli odejdziesz. Chcę być z tobą, Venus. Obudziłaś we mnie uczucia, jakich nigdy... Nie wiem, może to miłość... Sam tego nie wiem, nie rozumiem.

Oczy jej błysnęły, łzy zapiekły pod powiekami.

- Kocham cię - powiedziała. Popatrzył na nią z napięciem.

- Ja też cię kocham.

Serce zabiło jej jak szalone, zrobiło się jej gorąco, jakby nagle przeszył ją prąd. Monitor obok łóżka zamigotał gwałtownie i znów się

uspokoił.

- Riley - rzekła cicho. - Nigdy nie odejdę od człowieka, którego kocham. Miłość jest wszystkim. Przepelnia cię od rana do nocy, sprawia, że masz ochotę do życia, daje siły.

Zaśmiał się cicho, pogładził ją po policzku.

- Wiem - powiedział żarliwie. - Miłość nadaje życiu sens. Spłynął na nią spokój, poczucie całkowitego zrozumienia i pojednania. Ciało pulsowało ogniem, czuła każdy nerw, każdy mięsień.

- Venus - z niepokojem odezwał się Riley. - Poczzerwieniałaś nagle... choć może to coś innego. Znowu masz tę dziwną poświatę wokół głowy.

- Panie Burke - rozległ się głos pielęgniarki. - Oto pana dziecko. Odwrócił się, wziął maleńkie zawiniątko, delikatnie dotknął rączki niemowlęcia.

- Och, mój Boże! Jaka piękna! I te rudawe włoski - dodał, czubkami palców przeciągając po główce dziewczynki. Nawet nie zauważył odejścia pielęgniarki. Ostrożnie rozsunał kocyk, odsłaniając ramionka dziecka. - Pandy, wykapana mamusia z ciebie...

Głos uwiązał mu w gardle. Przeniósł wzrok na Venus, znowu popatrzył na niemowlę. Dotknął palcem barku dziewczynki.

- Venus, popatrz. - Podsunął jej dziecko. - Czy to w twojej rodzinie dziedziczne? Daję głowę, że przed chwilą widziałem gwiazdy w jej oczach. I też ma takie znamię jak ty, w tym samym miejscu.

Wzięła maleństwo. Jej oczy błysnęły radośnie.

- Masz rację. - Delikatnie otuliła córeczkę kocykiem. - Czy to nie

dziwne? Człowiek nawet się nie spodziewa, co dostaje w spadku po przodkach.

Zakołysał się na piętach, popatrzył na migający monitor.

- Venus, znasz tego lekarza? - zapytał.

Nie odpowiedziała, pochłonięta oglądaniem uszu córeczki.

- Jest samotny.

- Naprawdę?

- Mówił, że bierze nocne dyżury, bo ma już dość powrotów do pustego mieszkania.

Venus, wyraźnie zdekoncentrowana, kiwnęła głową.

- Tak powiedział?

Kiwnął głową, lecz zajęta dzieckiem nie widziała tego.

- Czy to nie szkoda? - ciągnął. - Powinien poznać tę pielęgniarkę z izby przyjęć. Wydaje mi się, że... - Wzruszył ramionami. - Chyba też nikogo nie ma.

Venus nie odrywała oczu od dziecka.

- Zrób to dla mnie - poprosił Riley. - Poznaj ich ze sobą.

Zdumiona podniosła na niego oczy.

- Myślałam, że nie chcesz, żebym bawiła się w swatkę.

- Nie miałem racji. W ogóle.

- Pani Burke? - W drzwiach stanęła młoda kobieta. - Pozwolono mi do pani zajrzeć. Poród trwał tak długo, że już zaczęłam się niepokoić. Jestem Kathleen Morehouse, przyjmowałam panią do szpitala. Pewnie mnie pani nie pamięta.

- Prosimy - Riley gestem zaprosił ją do środka. - To właśnie o tej

pani ci mówiłem - rzekł do żony. Uśmiechnął się do Kathleen. - Proszę popatrzeć. Mamy piękną i zdrową dziewczynkę.

- Jaka śliczna! - zachwyciła się. - I te urocze włoski!

- Mówią, że jest do mnie podobna - zaśmiała się Venus. Alex Whitman, lekarz po trzydziestce, wszedł do salki.

- Jak tam nasz dzidzius? - zapytał, stając przy łóżku.

- Świetnie - odpowiedziała Venus, a Riley jej zawtórował.

- To bardzo się cieszę. Teraz zmykam, ale jutro zajrzę tu z samego rana. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Życzę dobrej nocy i... - Popatrzył na niemowlę otulane przez Kathleen.

- Venus? - znacząco szepnął Riley, wskazując oczami na lekarza i Kathleen.

- Dziękuję, doktorze - powiedziała, czule przygarniając do siebie maleństwo. Bez względu na to, co przyniesie przyszłość, zawsze będzie przy sobie mieć malutką Pandorę. I swojego męża.

Nagle przed jej oczami stanął obraz lekarza powracającego do domu pełnego dzieci. I czekająca na progu Kathleen.

- Panie doktorze - zaczęła słodkim, hipnotyzującym tonem. - To jest Kathleen Morehouse, pielęgniarzka z izby przyjęć. - Kathleen - ciągnęła, ważąc słowa - to doktor Alex Whitman.

Ich spojrzenia się spotkały. I zatrzymały. Na twarzy Kathleen pojawił się nieśmiały uśmiech. Lekarz nie odrywał od niej urzeczonego wzroku. Z jego piersi wyrwało się mimowolne westchnienie.

Bęc! Stało się! Tak jak dawniej.

Venus oparła się na poduszkach, wzięła dziecko w ramiona Riley

z fascynacją chłonał to, co się działo na jego oczach. Kathleen i Alex zapomnieli o ich obecności. Widzieli tylko siebie.

- Wracam do domu - rzekł lekarz. - Pewnie już jesteś po dyżurze. Mógłbym cię podwieźć?

- Dzięki - odpowiedziała. - Mam kilka pytań dotyczących moich pacjentów. Może ty mi odpowiesz.

Pograżeni w rozmowie wyszli na korytarz. Riley odprowadził ich wzrokiem.

- Znowu to zrobiłaś!

Venus uśmiechnęła się i przycisnęła dziecko do piersi. Oczy płonęły jej radością. Wzięła Riley'a za rękę.

- Czasami musisz po prostu wierzyć - zaśmiała się.

- Najpierw Moira, potem ta para w kasynie... - Patrzył na nią oszołomiony. Nagle go olśniło. - Dzięki tobie ludzie stają się szczęśliwi, ty sprawiasz, że się zakochują.

- Tak - szepnęła. - To coś więcej niż hobby. Przygotuj się, że będziemy gośćmi na wielu weselach.

Wydał zduszony okrzyk, zaniepokojona Pandy zakwiliła.

- A potem pewnie posypią się dzieci, co?

- Taka już kolej rzeczy, jak sam się przekonałeś.

- Hm.

Przytuliła niemowlę, dziękując niebiosom, losowi, przeznaczeniu za to szczęście.

- Potrzeba mi twojej miłości. Do życia. Do niesienia szczęścia innym.

- Ja też ciebie potrzebuję, Venus. Naucz mnie kochać, naucz mnie mówić o tym, co czuję. - Umilkł na sekundę. - Venus, Kocham cię.

- Ja też cię Kocham.

- Tak długo żyłem bez miłości. Wreszcie odnajduję do niej drogę. Z tobą i dzięki tobie.

scandalous